

Rozmowa z profesorem Zdzisławem Cackowskim

str. 3, 4-5

Humoreski, wiersze satyryczne, krzyżówka

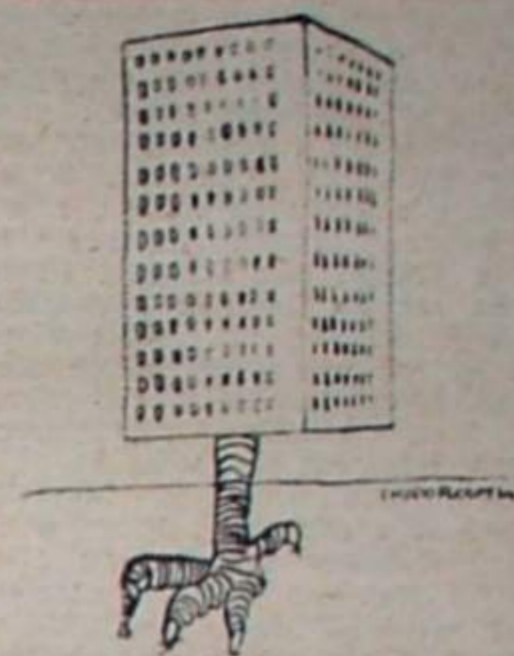
str. 11,12

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

• ROK ZAŁOŻENIA 1933

Kamena

PL ISSN 0137-7108 Nr 140680 1987



Rys. Antoni Chodorowski

NR 14 (886)

12 lipca 1987

Cena 20 zł

Tryptyk dębliński

Marta Denys

I. Wieniec od Włochów

Z AUTOKARU wysładał niespiesznie, wyciszony i oczekujący. Oto po 43 latach od tamtych wydarzeń stanęła znów przed bramą dęblińską twierdzy. Zieleń, zmyta ledwo co spadłym deszczem, dystansowała pierwsze wrażenie od nadciągającej fały wspomnień. Dotkliwych i tragicznych. Towarzyszące gościom żony upewniały się, czy to naprawdę tu? Jasne tynki bramy i pełna żabiego skrzeku fosa podsúwała imne skojarzenia. Ale to było właśnie tu.

Do włoskiej delegacji GUISCO — „Stowarzyszenia Oficerów Internowanych w Obozie Karnym w Dęblińskiemu” — podbiegły uczennice w regionalnych strojach. Każda z pękiem goździków. Z historii miasta i twierdzy zapamiętały być może to, że w czasie okupacji znajdował się tu obóz jeńców, tzw. Stalag 307, gdzie straciło życie około 100 tys. jeńców radzieckich, francuskich i włoskich.

Po 40 latach forteczna ziemia jeszcze wydała ich szczątki. Oto w czasie ubiegłorocznego porządkowania przycmentarnego terenu na tzw. Balonowej — jednej z redut dęblińskiej twierdzy — członkowie Towarzystwa Przyjaciół Dęblińska odkryli zbiorową mogiłę. Po rozpoznaniu znalezionych części żołnierskiego wyposażenia, m. in. manierek i tyłek z wrytymi imionami, okazało się, iż pogrzebaną tu została — z zatarciem wszelkich, jak to było w zwyczaju okupanta, śladów — jeńcy włoscy. Szczątki owe z należytym im polowym ceremoniałem ekszhumowano do dwóch zbiorowych kwater na dęblińskim cmentarzu komunalnym, tuż obok Pomnika Ofiar Faszyzmu.

16 czerwca 1987 roku przybyła tu włoska delegacja GUISCO, by zapalić znicze i złożyć wieniec z trójkolorowej barwy kwiatów.

Dokończenie na str. 8-9

Wyznawcy szatana

Wiesław Horabik

We wrześniu ubiegłego roku prasa krajowa doniosła o skazaniu przez Sąd Wojewódzki w Słupsku trzech młodych mężczyzn za zorganizowanie na miejscowym cmentarzu „satanicznej” mszy. Podobny przypadek odnotowano wcześniej w Jarocinie: miejscowi wyznawcy szatana rozkopali tam nocą grób, włożyli do trumny serce zabitego psa i odmówili modlitwy, przysięgając wierność złu. Ostatnio doszło do podobnych ekscesów w Krakowie i Szczecinie. Rytualną ofiarą tych praktyk padały także koty. Wobec braku odniesienia

Kodeksu Karnego do czarnej magii, oskarżonych skazywano z reguły za profanację nekropolii, z dodatkami kary za maltretowanie zwierząt. Wieloma spośród winowajców musiały się zająć sądy dla nieletnich. Sprawa „satanistów” stała się głośna. Temat podjęły: „Przeгляд Tygodniowy” i „Przekrój”; dołączyły niektóre pisma młodzieżowe. Szokujące postępowanie młodych zwyrodniałców roznieciło plotkę do granic absurdu. Centrum podobnych działań przypisano ostatnio Lubelszczyźnie.

SZCZEGÓLNE nasilenie sensacyjnych przekazów można było zaobserwować na krótko przed wizytą papieża Jana Pawła II. Niezwykłe wydarzenia zwykle ewokują sensacyjne pogłoski: ktoś z okien przycmentarnego domu dostrzegł wynoszone w worku trupa, do młodych dziewcząt ze szkół podstawowych zaczęły docierać pogłoski o planowanym wycinaniu ich serc, nawet przedszkolaki taszczyły do domu informacje, że nadszedł czas trwogi dla blondynek. Ze Stalowej Woli przyszła wiadomość o zbyszczeszczeniu grebu króla Cyganów, za co w ramach vendetty ma wkrótce ponieść krwawą karę kilkunastu miejscowych wyrostków. W Kraśniku natomiast jakoby znaleziono maltretowane ciało trzyletniej dziewczynki z doczepioną do ubrania kartką: „Zyłaś krótko, lecz cierpiałaś długo”. Podobne brednie zaczynały budzić nie tylko zażenowanie.

„Satanistów” w pełnej gali, w skórzanych kurtkach z odwróconym krzyżem i napisem „Antychryst” na plecach, widziano u nas tylko raz (choć podobno jeden z aktywistów mieszka nawet w mojej dzielnicy). Było to na lubelskim placu Wolności. Mieli oni wówczas obrzuć odjeżdżającą z przystanku autobus MPK kamieniami i nieczystościami. Ogromną większość ich działań pokrywał wszakże nadal nocny mrok. Opinia publiczna znalazła pożywkę, codzienne życie nabrało niezwykłego blasku, legendy dotąd przechodzą kolejne stopnie udratyzowania. A jednak Sąd Wojewódzki w Słupsku skazał winnych profanacji cmentarza na kary pozbawienia wolności przekraczające rok, procesy odbyły się także w Jarocinie, Zamościu i Człuchowie. We-

dług informacji uzyskanej w lubelskim WUSW, również w dwu innych miejscowościach naszego regionu prowadzone są dochodzenia w sprawach o tego typu przestępstwa.



Atrybuty satanistyczne zarekwirowane przez MO

Zainteresowanie człowieka okultyzmem ma długą historię, nurt wszakże, którego odbiciem wydają się być obecne wybrki rodzimych miłośników zła, powstał na Zachodzie (a ściślej w USA

w okresie późno-, a nawet posthippi-sowskim. Był to jakby drugi stopień wtajemniczenia narkomanów i biernie dotąd kontemplujących życie dzieci-kwiatów. Hasło: „Róbcie miłość, a nie wojnę” uległo szybkiej dewaluacji wobec bezkompromisowego forsowania przez rząd wojny wietnamskiej. Rozbudziły się elementy agresji. Kulminacyjnym punktem nowej odmiany młodzieżowych zachowań stały się głośne w swoim czasie morderstwa Sharon Tate oraz rodziny La Bianca. Jednak spece od wyczuwania trendów subkultury już wcześniej rzucili na rynek księgarski i filmowy szereg publikacji i obrazów o treści „satanicznej”. Jest to żywa analogia do obecnej sytuacji w odniesieniu do produkcji fonograficznej. Powstały wówczas „Egzorcysta”, „Omen”, „Sentinel” a sam Roman Polański, jakby wyzywając tragedię, nakręcił „Dziecko Rosemary”. Prawdziwy koszmar objawiło jednak życie. Wspomnianym wyżej zbrodniom towarzyszyły wstrząsające okoliczności. Przypomnijmy: „Sharon Tate, w ostatnim miesiącu ciąży, została poczęta krzyżowo nożami, a jej nienarodzone dziecko odkryte za pomocą brutalnego, groteskowego cesarskiego cięcia. Ciąta innych ofiar maltretowano podobnie. Tate i Sebring byli związani krwawą liną przerzuconą przez belkę pod sufitem. Wszystko sugerowało rytualny mord sataniczny, a Jay Sebring miał na twarzy czarną maskę. Prokurator wezwał na miejsce zbrodni psychiatrów, by pomogli ustalić, jakiego typu osobowość zdolna była dokonać podobnego czynu” (J. D. Russel „The Beautiful People”).

Dokończenie na str. 10

O GŁOSZONY w lipcu 1944 roku Manifest Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego zdaje się być dzisiaj dokumentem wyłącznie archiwalnym, znakiem odległej przeszłości. Wszak to już 43 lata upłynęły od tamtego upalnego miesiąca, kiedy na murach miast i miasteczek wyzwolonej części kraju pojawiły się afisze z nagłówkiem: „Do Narodu Polskiego!”. Żyjemy w innych warunkach, odmienne mamy problemy, pragnienia i aspiracje, jakie różne od tych, które Manifest określał na przykład słowami: „Zadania wyzwolenia Polski, odbudowy państwowości, doprowadzenia wojny do zwycięskiego końca, uzyskania dla Polski godnego miejsca w świecie, rozpoczęcia odbudowy zniszczonego kraju — oto nasze naczelne zadania”. Cele te zrealizowano, ale kosztem takiego wysiłku, który przekracza wyobraźnię generacji wychowanych w pokoju, w krajobrazie bez ruin i nędzy. To zresztą zrozumiałe, bo rzeczywistość trudno dziś pojąć, jakim np. sposobem, w dramatycznie skomplikowanej sytuacji politycznej i bez przemysłu, obie armie wojska polskiego osiągnęły w końcu 1944 roku liczbę prawie 300 tys. żołnierzy. Prawda, uzbrojenie i większość wyposażenia dostarczył nam Związek Radziecki, ale nie wyczerpywała przecież sprawy ta pomoc materialna. Przede wszystkim trzeba bowiem było przekonać wcale liczne środowiska społeczne, że wbrew propagandzie podziemia organizuje się oto kolejne oddziały rzeczywistości polskiego wojska, które pójdzie do walki w imię niepodległości i wolności ojczyzny.

Uważa lektura Manifestu przekonuje jednak, że nie jest on tylko szacowną pamiątką z muzeum czynu narodowego, historycznym szkicem do ustroju społecznego Polski Ludowej, nakreślonym zresztą lekką kreską, z pominięciem takich pojęć, jak rewolucja, socjalizm, walka klasowa, choć bez wątplenia zgodnym z programem lewicy. Wielowatkowa treść tego dokumentu mocno spaja bowiem idea jedności narodowej, która szczególnej, dziejowej aktualności nabrała właśnie w obecnych czasach reformowania ważnych struktur naszego państwa. Mając na uwadze przytoczone tu już cele generalne, Manifest stwierdzał: „Nie można tych zadań urzeczywistnić bez jedności narodowej”.

Ale tej jedności, co ważne, nie pojmowano w okresie PKWN na zasadzie urawniłowki za wszelką cenę i wszędzie. Wspólnota postaw miała obowiązywać głównie tam, gdzie w grę wchodziły wartości fundamentalne, związane z polską racją stanu: walka z okupantem niemieckim, sojusz ze

Związkiem Radzieckim, akceptacja nowej granicy wschodniej i przewidywanej zachodniej, zasada ludowładztwa. Nie podlegała dyskusji konieczność przeprowadzenia reformy rolnej, o którą walczyło chłopstwo już w międzywojniu. Zgodnie z duchem i literą Manifestu, wolna Polska miała sprzyjać przedsiębiorczości grupowej i indywidualnej: „Państwo popierać będzie szeroki rozwój spółdzielczości. Inicjatywa prywatna, wzmagać ją tętno życia gospodarczego, również znaleźć popar-

LEKCJA PKWN

cie państwa. Zapewnienie normalnej aprowizacji będzie jedną z podstawowych trosk”.

Na tak szerokiej płaszczyźnie mogli i spotkali się ludzie o odmiennych światopoglądach i orientacjach ideowych, co oczywiście nie znaczy, że program i praktyka PKWN były powszechnie akceptowane. Faktem pozostaje, że pod opiekę „rządu lubelskiego” uciekały się wybitne osobistości życia społeczno-gospodarczego czy kulturalnego z lat przedwojennych. Mało tego: PKWN poprzez swoje resorty i wydziały konsekwentnie poszukiwał tych ludzi, zrzadzeniem wiadomo jakiego losu bledujących nieraz po wsiach i miasteczkach, wypędzonych po powstaniu ze stolicy lub opuszczających dawne kresy wschodnie. W tej akcji brało też udział wojsko. General Bolesław Kieniewicz, komendant garnizonu na warszawskiej Pradze, osobiście polecał opiece szefa Resortu Kultury i Sztuki „Dygasa Ignacego, zasłużonego artystę operowego i działacza sztuki polskiej, którego odnaleźliśmy w bardzo ciężkich warunkach materialnych”. Major Wasowicz, szef Szpitala Lekko Rannych nr 6 w Otwocku, prosił Bolesława Drobnera — kierownika Resortu Pracy, Opieki Społecznej i Zdrowia — o zaopiekowanie się schorowanym Stefanem Jaraczem, otrzymując odpowiedź tej m. in. treści: „Proszę zapewnić ob. Ja-

racza w imieniu Resortu mnie poruczonemu, także i w imieniu Resortu Kultury i Sztuki, a wreszcie w moim osobistym imieniu (a wstyd przyznać się, że znamy się z ob. Jaraczem od 42 lat), że dołożymy wszystkich starań, by ob. Jaracz był zadowolony”. PKWN troszczył się również o polskich twórców, którzy znajdowali się jeszcze w Związku Radzieckim. Świadczy o tym pismo moskiewskiego przedstawicielstwa PKWN, informujące, że „zostały podjęte starania celem skierowania pośy Słobodnika Włodzimierza do dyspozycji Resortu Kultury i Sztuki”.

Obszerna jest korespondencja tego typu, znajdująca się dziś w naszych archiwach.

Szeroko realizowano postanowienie Manifestu: „Polska inteligencja zdziesiątkowana przez Niemców, a zwłaszcza ludzie nauki i sztuki została otcoczeni specjalną opieką”. Nie zagladano nikomu do legitymacji partyjnej czy światopoglądu, przyjmowano każdego jak członka narodowej rodziny. Wspomnijmy tylko, że w Lublinie przebywało wówczas wielu pisarzy, m. in. Boguszevska, Jastrun, Kleiner (był członkiem zw. literatów), Kornacki, Minkiewicz, Piętak, Pasternak, Przybóś, Parandowski, Trament, Sandauer, Szaudynger, Ważyk, Wende, M. Żuławski. Jakże wielką rozmaitość postaw reprezentowali ci ludzie: od komunistów po liberalów, od katolików po ateistów!

Zwróćmy też uwagę, bo to fakt pouczający, że na czele Resortu Kultury i Sztuki stał wybitny działacz demokratyczny (SD), Wincenty Rzymowski, którego zastępcą był kolega partyjny, Jan Karol Wende, zresztą autor, jeszcze w międzywojniu, bodaj pierwszych w Polsce książek w poetyce realizmu socjalistycznego!

Nie jest dziełem przypadku, że przebywający wówczas w Nowym Jorku Julian Tuwim pozdrawiał depeszą literatów zgromadzonych w Lublinie PKWN, jak i nie potrzeba uprawiać politycznej scholastyki, by wyjaśnić powody wydrukowania na pierwszej stronie pierwszego numeru „Odrodzenia” (3 września 1944 r.) słynnej „Modlitwy” tego poety, której fragment brzmi:

*A kiedy lud na nogi stanie,
Niechaj podniesie pięść żyłastą:
Daj pracującym we władanie
Płon pracy ich we wsi i miastach,
Bankierstwu rozpuść — i sprawo Pania
By pieniądze w pieniądź nie porastał.*

Włodzimierz Jona

Lubelskie sylwetki

Madrość w wielości

Rozmowa z prof. Zdzisławem Cackowskim

— Jest pan wybitnym filozofem marksistowskim, autorem ponad dwustu publikacji, członkiem Komitetu Centralnego PZPR i Rady Społeczno-Konsultacyjnej przy Przewodniczącym Rady Państwa, a od niedawna jeszcze rektorem-elektorem UMCS. Cenny dorobek, świetne role, imponujące tytuły, więc może nie wypada pytać, jakie to oceny otrzymywał pan w szkołach, kiedyś tam, w młodości...

— Szkołę podstawową ukończyłem w półtora roku, ale...

— Fenomenalnie! Czy pozostawało to w jakimś związku z pańskim pochodzeniem społecznym?

— Z czym? Urodziłem się co prawda na wsi, w podwrocławskiej Warząchewce, gdzie rodzice posiadali niewielkie, pięciomorgowe gospodarstwo, ale ten mój rodowód nie miał tu nic do rzeczy. Jeśli zaraz po wyzwoleniu, mając za sobą pierwszą klasę przedwojenną szkoły powszechnej, w kilka miesięcy zaliczyłem podstawową edukację, to zdecydowały o tym ustawowe możliwości szybszego „nadrabiania” przez „przerośniętych” i jako tako rozgarniętych uczniów lat utraconych przez okupację niemiecką. A tak się złożyło, że potrafiłem dzielić i mnożyć, no i znałem na pamięć fragmenty „Don Kichota”, co wzbudziło sensację w szkole. Pod patronatem dobrego rycerza z Manczy awansowałem więc błyskawicznie: przyjęty od razu do klasy trzeciej, po czterech dniach znalazłem się w szóstej.

— Jak na wiejskiego chłopaka, wyrafowane miał pan gusta literackie.

— Trudno mówić o gustach, skoro była to jedyna książka w języku polskim, jaką posiadałem podczas okupacji. Czytałem ją głośno, wielokrotnie, zatem musiałem to i owo zapamiętać. Po prawdzie, moja wiedza przedstawiała się mi wówczas żałośnie. Na szczęście trafiłem potem, w lutym 1946 roku, do znakomitego Gimnazjum Ziemi Kujawskiej we Włocławku, pod opiekę takich doskonałych profesorów, jak na przykład Włodzimierz Gniazdowski, Regina i Dominik Banaszakowie, Włodzimierz Mroźewski, brat znanego aktora.

— Ciekawe: pański rówieśnicy, z którymi przeprowadzałem wywiady, też bez chwili namysłu recytowali nazwiska swoich nau-



Fot. Przemysław Ostrowski

czyteli. Pamięć szczególną macie do nazwisk?

— Ci ludzie nie tylko nas kształcili, ale wychowywali. Szanowaliśmy ich, na prawach wzajemności, choć na lekcjach dochodziło już do gorących dyskusji światopoglądowych i politycznych, podejmowanych z reguły przez nasz aktyw.

— Związku Młodzieży Polskiej?

— Tak. Początkowo należałem do Związku Walki Młodych, następnie, po zjednoczeniu organizacji młodzieżowych w 1948 roku, do ZMP, będąc nawet członkiem zarządu miejskiego we Włocławku.

— Niedawno telewizja pokazała film fabularny o strasznym biegu zetempowców, popędzanych „dla dobra sprawy” niczym stado zmaltretowanych baranów.

— Nie oglądałem. Ale broniłem i będę bronił dobrego imienia ZMP, bo mimo wszelkie deformacje, nie do uniknięcia w tamtych latach, był to związek ludzi działających najciężej z pobudek ideowych, kreujących społecznie cenne wartości materialne i moralne.

— Co ponadto zapamiętał pan z czasów gimnazjalnych?

— W rejestrze moich prywatnych, młodzieńczych mitów nieodmiennie figuruje teatr szkolny: wspaniałe, z tradycjami uświetnionymi występami Ludwika Solskiego, przyciągający na przedstawienia „całe miasto”, a działający pod opieką profesora Gniazdowskiego. Później przekształcił się w scenę nauczycielską, prezentowaną okazjnie w telewizji. Chlubą „Ziemi Kujawskiej” byli także koszykarze, wioślarze i siatkarze, w ogóle sport rozwijał się u nas na wysokim poziomie, przynosząc niejedną satysfakcję mieszkańcom Włocławka. Zapamiętałem to wszystko, choć sam nie występowałem w teatrze i tylko kibicowałem sportowcom.

— Czy wśród pańskich kolegów byli i tacy, którzy zaznaczyli później swoją obecność w życiu publicznym?

— Do klasy o profilu humanistycznym uczęszczał, podobnie jak ja, Stefan Olszowski, natomiast w klasie matematyczno-fizycznej uczyli się Andrzej Wójcik, obecnie minister handlu zagranicznego, oraz Wiesław Rogowski, redaktor naczelny „Argumentów”.

— Jakim był pan uczniem?

— Po maturze, w 1950 roku, szkoła wytypowała mnie na studia do Moskwy. Wychowany w środowisku wiejskim, gdzie wedle przedwojennych wyobrażeń już matura gwarantowała sukces życiowy, przyjąłem to z zaskocze-

Dokończenie na str. 4—5

Madrość w wielości

Dokończenie ze str. 3

sem, ale bez lęku przed wyjazdem, który przecież zaniepokoił rodziców. W końcu, po kursie przygotowawczym, gdzie opanowałem podstawy języka rosyjskiego, nieobecny w programie gimnazjalnym, spakowałem manatki i udałem się na wschód.

— W szczytowym okresie stalinizmu...
— Żeby było „ciekawiej”, studia podjąłem na wydziale filozoficznym, wręcz zanurzonym w dogmatyzmie. Wtedy właśnie ukazała się rozprawa „W sprawie marksizmu w językoznawstwie”, wydana przez Stalina.

— Natychmiast przetłumaczono ją zresztą na polski. Zatrzymajmy się jednak chwilę na poboczach pańskiej edukacji filozoficznej, zwracając uwagę na codzienność studenta rodem z Warszawy, który przybył do Moskwy w dwudziestej wiosnie swego życia.

— Dobrze, ale tę codzienność prawie bez reszty określała nauka. Jak wszyscy studenci zakwaterowani w domu akademickim, wstawałem o godzinie 6-6.30, następnie jechałem, kawał drogi, na zajęcia uniwersyteckie, które trwały od 8 do 13-14. Po obiedzie, bez odpoczynku, szło się do biblioteki, opuszczając ją zwykle około godziny 31, lub nawet później, o 23. Tam zawsze było tłoczno, więc w niedziele biegł najpierw do biblioteki „delegat” naszej grupy koleżeńskiej, który zajmował miejsca przy stolikach, podczas gdy pozostali próbowali wyrównać nekający ich ciągle deficyt snu.

— Przypuszczać można, że studenci, szczególnie zagraniczni, mieszkali bardzo wygodnie.

— Po sześciu lub ośmiu w jednym pokoju, w dawnych koszarach pułków preobrazieńskich Piotra I. Dla mnie nie było to jednak uciążliwe. Inna sprawa, że dwa ostatnie lata studiów mieszkałem już w pokoju jednoosobowym, na Wzgórzach Leninowskich. Koszarową Stromyńkę wspominam przecież z sentymentem.

— Trudno uwierzyć, że młodzi ludzie wyczerpywali swoją vitalność i zainteresowania wyłącznie w sferze nauki.

— I słusznie. Chadzaliśmy wszak do teatrów, na występy estradowe, wielu z nas uprawiało różne dyscypliny sportu, co było zresztą dobrze widziane i modne. Nawet ja nie stroniłem od „fizykultury”, jeżdżąc zimą na łyżwach, rzadziej przypinając narty.

— A czy młodym marksistom obce było życie uczuciowe w poetyce romansu?

— W sobotnie wieczory, w klubie naszego domu studenckiego, urządzano wieczorki tańcujące, które do dziś mam przed oczami ze względu na ich program i ceremonial. Otóż obowiązywały tam wyłącznie tańce salonowe! Żyło się wówczas skromnie, zgodnie z zasadami rewolucyjnej ascezy, więc te wymysły, wystudiowane kroki i układy przypomniały mi zjawy z obcego świata. Nie byłem w stanie uczestniczyć w takich zabawach. Ale właśnie w Moskwie poznałem swoją późniejszą żonę, krakowiankę studiującą wtedy w Instytucie Pedagogicznym.

— Pani profesor Maria Cackowska kieruje dziś Zakładem Dydaktyki UMCS. Co stwierdziwszy, zdejmując oko z dziurki od klucza w drzwiach kryjących mieszkanie przy ul. Pozytywistów, albowiem podglądanie uchodzi u nas za proceder naganny, czy powszechnie uprawiany. Wróćmy do Moskwy, do filozofii w ujęciu słynnego „Krótkiego słownika...”

— Dogmatyczny sposób uprawiania filozofii wówczas nie był aż tak sztywny, jak się dzisiaj sądzi. Rygory uległy ograniczeniu zwłaszcza po śmierci Stalina. W czasie swych studiów przeżyłem wtedy przygodę intelektualną wielkiej próby, byłem świadkiem i uczestnikiem żarliwych, niejednokrotnie gwałtownych dyskusji i sporów, dotyczących samej filozofii i niektórych problemów nauk przyrodniczych, zajmujących zresztą dużo miejsca w programie moich studiów, podobnie jak matematyka, wykładana przez białe dwa lata. Studenci ostro zaczepiali profes-

orów, często wygrywając te potyczki, zaczytywali się w „Botaniczescm żurnale”, gdzie atakowano Lysenkę. A jak burzliwie przebiegały publiczne obrony prac doktorskich! Jak skwapliwie (i nonszalancko) podawaliśmy, ba — rzucaliśmy kartki z pytaniami profesorom już w trakcie wykładów! Pamiętam te eskadry karteczek, jakie szybowyły w kierunku profesor Janowskiej, kobiety niskiego wzrostu, paradującej zimą w walonkach, która studentem filozofii wykladała logikę matematyczną przez cały okres, kiedy nie cieszyła się oficjalnym uznaniem.



1960 r.: promocja doktorska na UMCS-ie. Zdzisław Cackowski (z prawej) i Zygmunt Mańkowski. Pierwszy jest obecnie rektorem-elektem UMCS-u, a drugi — prorektorem-elektem.

— Nasz studenci, jeśli w ogóle o coś pytają, to najczęściej o możliwości uzyskania urlopu dziekańskiego czy zapomogi. Tak było przed rokiem 1980, tak jest i obecnie.

— Niestety... W tamtym okresie, o którym mówiłem przed chwilą, nastąpił też w radzieckich środowiskach filozoficznych wielki renesans Hegla. Okazało się, że jego myśli to nie tylko „skała spekulatywna”, że są wśród nich wątki nieustannie żywe i pobudzające. Sam pisałem prace z Hegla, mówiąc żargonem heglowskim i do dziś zachowałem respekt dla dzieła tego filozofa.

— Skończył pan studia, wrócił do Polski...

— ...gdzie otrzymałem, zgodnie z ówczesnymi przepisami, nakaz podjęcia pracy, właśnie w Lublinie. Bez trudu przekonano mnie w ministerstwie szkolnictwa wyższego, że mam tam poważną misję do spełnienia.

— Był pan już członkiem PZPR?

— Od marca 1950 roku. Na Uniwersytecie Marii Curie-Skłodowskiej pojawiłem się pięć lat później, we wrześniu, przyjeżdżając do pracy przez ówczesnego rektora, profesora Andrzeja Burdę. W uczelni nie było jednak zakładu filozofii, zatem przypisałem mnie do katedry historii ruchu robotniczego, kierowanej przez profesora Stanisława Krzykałę, który w swojej wyrozumiałości dał mi wolną rękę. Konkretnie wsparcie uzyskałem natomiast od kolegi ze studiów moskiewskich, Kazimierza Nowickiego, ekonomisty, który udostępnił mi pomieszczenie zakładu przy pl. Litewskim 3, razem z maszyną do pisania. Mając „wojną rękę”, paliłem sam zimą w piecu kaflowym, pisałem, co z tego wychodziło, ale nie znałem w Lublinie nikogo, kto mógłby ocenić owe teksty. Pojechałem więc do Warszawy, do profesora Czesława Nowickiego, który zapoznawszy się z moimi pracami, dał mi ryczałt w swoim zespole.

— O ile się orientuje, w drugiej połowie lat czterdziestych prowadzono w uniwersytecie zajęcia z filozofii i psychologią.

— Tak, ale po 1948 roku odsunięto od nich profesora Narcyza Lubnickiego, który nauczał odłąd logiki, a nawet języka rosyjskiego.

— Na jaką nagrodzenie w UMCS?

— „Opiewało” na około 1000 złotych, jako że byłem starszym asystentem. Dla porównania: jesienią kosztowała wtedy około 900 zł. Przydał się ryczałt warszawski, o którym przydał.

— Gdzie pan mieszkał?

— W domu studenckim „A”, gdzie w pięciu dysponowaliśmy jednym pokojem. Do tego bloku wprowadziłem też żonę po ślubie (1956), by zacząć nowe życie na powierzchni osiemnastu metrów kwadratowych. Był to przecież lokal samodzielny i suwerenny, podczas gdy znajomemu małżeństwu z

— Władysław Krajewski i Kława Schaff.

— Rok habilitacji?

— 1962, na podstawie rozprawy „Problemy i pseudoproblemy”, wydrukowanej dwa lata później. Poem przeczytałem typową drogą akademickich awansów: zostałem docentem (1963), profesorem nadzwyczajnym (1971) i zwyczajnym (1976).

— Jak widział, najwięcej czasu upłynęło między docenturą a profesurą.

— Rzecz w tym, że od czerwca 1968 roku przebywałem w USA, gdzie przez kilkanaście miesięcy zapoznawałem się z tamtejszymi teoriami i filozofią myślenia twórczego. Zetknąłem się z interesującymi ludźmi i środowiskami w Nowym Jorku, Bostonie, Waszyngtonie, San Francisco, Los Angeles, Salt Lake City, Berkeley i Chicago, przekopałem się przez bogatą literaturę, nawiązałem kontakty, które do dziś podtrzymuję. Słowem, był to pobyt pożyteczny, ale wspomniany program nie znalazł jednak wyraźniejszego odbicia w moich późniejszych publikacjach.

— Jak w dramatach roku 1968 przyjeżdżał do Ameryki?

— Spotkałem grono osób zainteresowanych marksizmem, opublikowałem tam dwa teksty. Proszę pamiętać, że pojawiłem się w USA w okresie, kiedy intelektualni i studenci kontestowali system pod hasłami „3M”: Marksa, Mao, Marcusego. Z tym ostatnim zetknąłem się zresztą osobiście, kilka lat wcześniej (1961), w Paryżu, gdzie będąc cztery miesiące, uczestniczyłem między innymi w ciekawych seminariach i wykładach Marcusego.

— Przedstawiciel frankfurckiej szkoły „neomarksizmu”. Jeden z głównych ideologów neoanarchizmu, pupil zrewoltowanej młodzieży Zachodu. Marcuse nie pokładał wielkich nadziei w klasie robotniczej jako siłę zdolną do przeobrażenia świata. To jednak znana sprawa. Ciekawsz, bo świeższe i swojskie, wydała mi się refleksja Adolfa Rudnickiego w „Krakowskim Przedmieściu pełnym deserów”. Mając na uwadze proletariatu, pisarz określa i pyta: „Klasa, która przecież stale dąży do wyjścia ze swej klasy, do zmiany statusu społecznego, pójdzie wyżej, do włożenia białego kołnierzyka. [...] Jak więc warstwę przejściową czynić alifą i omegą?” Co pan na to?

— Czytałem książkę Rudnickiego, cenię literaturę, częściej przecież zajmuję się filozofią marksistowską. Czuję się zatem upoważniony do sformułowania pewnej korekty a propos, do przypomnienia, że dla Marksa jedną z fundamentalnych racji dziejowej roli klasy robotniczej jest, owszem, jej dążenie do zniesienia swojej sytuacji — ale na tym nie koniec! Ostatecznie zmierza ona bowiem do całkowitej likwidacji klasowej struktury społeczeństwa, tym samym do zniesienia walki klasowej. Marksizm nie wyczerpuje się doktryną walki klas! Ci uświadcza walkę klas, którzy chcą klasy utrzymać jako stały wzór organizacji społecznej. Trudno jednak przewidzieć dokładnie, jak potoczą się dalsze wydarzenia dziejowe.

— Szkicując program kreacji wyznaczonego przez pokolenie humanistów Człowieka Uniwersalnego, Homo Universalis, Adam Schaff przewiduje, że w krajach wysoko rozwiniętych nastąpi „likwidacja pracy fizycznej przez automatyzację i robotyzację”. Tym samym obumrze ponoć klasa robotnicza, co fatalnie skomplikuje sytuację określonych partii politycznych, występujących w imieniu tej klasy...

— Publicznie zabierając głos w tej kwestii wskazałem, że już 40 lat temu Norbert Wiener zastanawiał się nad przyszłością życia społecznego w kontekście robotyzacji — nie będąc jednak pionierem sprawy, albowiem daleko wcześniej, bo prawie 140 lat wstecz przemyślał ów problem Karol Marks. Poza tym, przewidywanie ewolucji klasy robotniczej wyłącznie na przykładzie krajów wysoko rozwiniętych nie może prowadzić do wniosków, które byłyby prawomocne w skali globalnej. Przecież te zamożne państwa to wyspy w światowym oceanie biedoty czy niedostatku! A dalsze dynamizowanie postępu różnicowanego oznacza zgodę na mnożenie konfliktów i tragedii w różnych częściach świata, który wszak stanowi dziś system naczyń połączonych. Musimy zmienić pojęcie postępu, musimy badać rzeczywistość w całym jej dialektycznym skomplikowaniu.

— Ta i ówde mówi się o kryzysie marksizmu.

— Marksizm bywa krytykowany, ale jest to tak praktyczna doktryna, że wręcz nie można się bez niej obejść w badaniach życia społecznego, w refleksji antropologicznej. W tych obszarach nie znajduje na konkurencji. Owszem, kompromitowano marksizm przez zatrudnianie tej wolnej myśli w służbie aktualnych władz, zwłaszcza politycznych, co zamieniało filozofię w pustostawie, wprowadzało w ruch mechanizmy blokujące dostęp do rozwiązań merytorycznych, ustanawiało rejon tabu, oznaczone szyldem „rewizjonizm”. Ale marksizm przetrzymał i taką próbę socjologiczno-polityczną.

— Uświecić się?

— Sakralizacja jest niebezpieczna dla wszelkiej myśli, zagraża porozumieniu

między ludźmi, bo domaga się wyłączności dla samej doktryny, dopuszcza połączenie z innymi kulturami tylko na zasadzie wertykalnej. A wertykalne struktury zubożają kulturę lub tworzą atmosferę nietolerancji. Tak, marksizm też próbował kiedyś samosakralizacji, o czym świadczą choćby blizny na sztuce i literaturze — wyciągając przecież z tej lekcji właściwe wnioski. Niestety, ciągoty w kierunku takiego wertykalnego modelu odczuwa się dzisiaj w niektórych — zachowawczych — kręgach polskiego katolicyzmu. A przecież w tym naszym zróżnicowanym świecie jedyne właściwe łączenie odmiennych kultur powinno odbywać się w układzie horyzontalnym, drogą dyskusji.

— Kultury i subkultury, narody i grupy etniczne, frakcje i sekty, partie i związki zawodowe — wielka jest różnorodność świata naszego, zatem mówi się o dezintegracji i chaosie.

— Wzrost różnorodności jest warunkiem rozwoju, ale, prawda, może też być symptomem rozpadu. Wprowadzanie ludzkiego ładu w tę rozbieganą rzeczywistość, łączenie (a nie przyłączanie) odmiennych kultur przyniesie oczekiwane skutki tylko wtedy, jeśli odbywać się będzie od dołu, na sposób horyzontalny, bez sakralizacji takiej czy innej orientacji. Po prostu chodzi o to, by prawa nieba nie dyktowały ziem, jak ma postępować. Żadna z kultur nie powinna brać na świadka żadnego boga.

— W jakich okolicznościach pojawiają się skłonności do sakralizacji własnej kultury?

— Kiedy antagonizm między różnymi grupami okazuje się nie do przelamania, następuje ubóstwienie własnej racji, co z kolei prowadzi do wojny. Głównie. Kto bowiem działa w imieniu prawdy absolutnej, ten pozbawia się prawa do kompromisu.

— „Idźcie na cały świat i nauczajcie wszystkie narody”...

— Słusznie, nauczajcie, ale nie grzeszcie pychą, nie zakładajcie, że jesteście jedynymi uprawnionymi do nauczania i że dysponujecie prawdą absolutną. Kościół z niechęcią odnosi się do religioznawstwa w szkołach, formułując takie lub inne zarzuty pod adresem tego przedmiotu. Czy zmieni stanowisko, jeśli okaże się, że wiedza o religiach przekazywana jest uczniom obiektywnie, uczciwie, taktownie, bez kamuflowania, tendencji do ateizacji? Nie, raczej nie, albowiem absolutyzuje swoje racje, natomiast każda szkoła ma to do siebie, że relatywizuje jedne wartości do innych.

— Jak zatem pogodzić ten świat pełen konfliktów?

— Nie widzę innej drogi poza ekumenizmem. Wielostronny ekumenizm jest najwyższą koniecznością współczesnego świata. W istocie polega on na dialogu, którego każda strona gotowa jest do zrelatywizowania własnych wartości wobec odmiennych racji.

— W „Tygodniku Powszechnym” (nr 24) przeczytałem, że nasz system społeczno-ekonomiczny, czyli realny marksistowski socjalizm, to pierwszy w znanej nam historii ludzkości system całkowicie zaprojektowany. Jest to podobno twór sztuczny, wymyślony, wiadomo jaki...

— Gdyby poważnie potraktować te słowa, należałoby dojść do wniosku, że przyczyną ruchów rewolucyjnych i robotniczych, zmierzających do socjalizmu, była filozofia, a nie faktyczna dola bełzitośnie wyzyskiwanych ludzi. Jest to pogląd oczywiście fałszywy. A dlaczego teolodzy wyzwolenia postępują się dziś marksizmem?! Bo skłania ich do tego teologia?! Zabawne. Oni czynią tak z praktycznej konieczności, w poszukiwaniu myślowych uzasadnień swojego działania, którego najgłębsze źródła mieszczą się w warunkach społecznych... Ciągłe, nie tylko zresztą w Polsce, przecenia się rolę teorii, tym samym sprzeniewierzając się właśnie marksizmowi. Tymczasem nie było i nie ma takiej doktryny, która objęłaby całą różnorodność świata.

— Czy Polacy znają marksizm?

— W niewielkim stopniu. W szerszym obiegu są tylko stereotypy, sprymitywizowane formuły. Ale ja się temu nie dziwię, bo jak powiedział Berkeley: „Ludzie chcą mieć własne zdanie, lecz nie zawsze chcą pracować nad nie”.

— Czy polityczne zaangażowanie filozofa nie ogranicza jego możliwości wyrażania refleksji niezależnej?

— Ogranicza, owszem, ale jednocześnie daje impulsy do podejmowania nowych kwestii. Ponieważ pańskie pytanie zdaje się dotyczyć konkretnej osoby, pozwolę sobie przy okazji zauważyć, że np. funkcja rektora uczelni nie sprowadza się wyłącznie do polityki.

— Uprawianie filozofii na pewno poszerza wiedzę człowieka, ale czy przynosi mu mądrość?

— Tylko w takim stopniu, jak każde inne głęboko ludzkie doświadczenie.

Rozmawiał:
Ireneusz J. Kamiński

Księżniczka - pisarka

Ludwik Gawroński

WZESZŁYM roku minęło sto lat od śmierci zapomnianej już dziś pisarki, Lucji z księżat Giedroyców Rautenstrauchowej. Wprawdzie nie błysnęła ona piórem na miarę Kraszewskiego czy Sienkiewicza, ale „spuścizna literacka którą pozostawiła w dziedzinie beletrystyki i podróży, ciekawą być musi, choć ta mało jest znana” — odnotowała ówczesna prasa. Istotnie, opisy licznych podróży po krajach Europy i wspomnienia są najciekawszą kartą w jej twórczości.

Przyszła autorka „Emmeliny i Arnolfa” urodziła się 22 czerwca 1798 r. w Bobolinie (pow. braclawski — w pobliżu ujścia Niewiaży do Niemna) jako córka Romualda Giedroycia, b. generała lejtnanta wojsk litewskich i Karoliny z Borzymowskich. Staranne wychowanie wraz z ogólnym wykształceniem otrzymała w domu rodzinnym, nauczana przez francuską guwernantkę p. Berthet i księdza Steinhofa, kapłana w ich pałacowej kaplicy.

W roku jej przyjazdu na świat ojciec przebywał w Paryżu, gdzie poznał Józefinę de Beauharnais, a przez nią — cesarza Napoleona. W czasie odwrotu wojsk francuskich spod Moskwy 14-letnia Lucja wraz z matką i rodzeństwem została wysłana przez ojca do Francji; do r. 1814 przebywała w Malmaison na dworze wspomnianej eks-cesarzowej Józefiny.

Po śmierci chlebodawczyni Giedroyciowie przyjechali do Warszawy, gdzie oczekiwali ich ojciec, przywrócony do łask przez cara Aleksandra I.

13 listopada 1820 r. Lucja wyszła za mąż za gen. dywizji Józefa Rautenstraucha, człowieka „złych obyczajów i już rozwodnika”. Wyszła jednak za niego, bo „miała już lat 22 i była księżniczką bez posagu!” Jak widać, było

to małżeństwo z rozsądku; w r. 1827 doszło do separacji. Pisarka opiekowała się jednak jego córeczką i nawiązała bliskie stosunki z Czartoryskimi w Puławach, którzy byli skollgaceni z pierwszą żoną gen. Rautenstraucha.

W r. 1836 Lucja wyjechała do Francji, gdzie od śmierci ojca (1824) mieszkała jej matka i brat Józef. W r. 1839 wróciła do Warszawy, później przebywała w Krakowie i Poznaniu.

W lipcu tegoż roku była u wód w Szczawnicy, co nie zrobiło na niej większego wrażenia. Zapewne dlatego, iż tzw. pałac dla kuracjuszy okazał się zwykłym drewnianym barakiem, którego szpary „dozwały wolnej powietrza i wszelkim karpackim zefirom cyrkulacji, przechodząc zaś gankiem mogłeś każdemu zajrzeć w okno, dowiedzieć się co się u sąsiadów dzieje i wzajem widzieć, jak do ciebie zaglądają”.

Dalej wspomina o wycieczce do Niemdżicy; szczególnie wielu wrażeń i emocji dostarczył jej nocny spływ Dunajcem, którego „fale toczyły w środku mętne kłęby, równie czarne jak reszta obrazu [...] Dunajec jakby wściekły niósł nas zapamiętałe”.

W latach 1844—1846 pisarka odbyła podróż do Niemiec, Szwajcarii, Włoch i Francji.

W r. 1853 osiedliła się na stałe w Puławach; zamieszkała początkowo w willi „Samotnia”, a później w pobliskiej „Cienistej” (dziś przy ul. Zielonej 23), gdzie powstały m. in. jej ciekawe pamiętniki wydane we Lwowie.

Rautenstrauchowa zaprzyjaźniona była z wieloma osobistościami ze świata literackiego; będąc w Paryżu



Portret Lucji Rautenstrauchowej z ok. 1840 r.

poznała Niemcewicza, Norwida, Mickiewicza oraz jego przyjaciela Antona Edwarda Odyńca, który odwiedził ją w Puławach w r. 1832. Sędziwa już wówczas pisarka pożegnała go stosownym wierszem:

Pomnij ten domek w ustronnej dolinie,
co się otula winoroślnym zwójem,
gdzie echo świata ucicha i ginie,
odzie się już żyje wnętrzem życiem swojem.

Zwie się „Cienista”, bo zmroczona dusza
grzebie w tym cieniu zlociste wspomnienia,
zimne popioły mych uczuć porusza,
na ich mogile rzewne wznosi pienia.

Nie chcąc być dłużnym, autor „Barbary” odwzajemnił się również okolicznościowymi strofami:

O! pomnę Twój dom w cienistej dolinie,
w którym gość, jeśli czuć i myśleć umie,
i szerzej pasmo myśli swoich rozwinię,
i jaśniej wiele prawd życia zrozumie.

I cóż więc za dziw, że gość w Twoim progu,
gdy go w nim światło tych uczuć oświeca,
z czcią i wdzięcznością wychodzi,
i Bogu ciebie i siebie zarazem poleca!

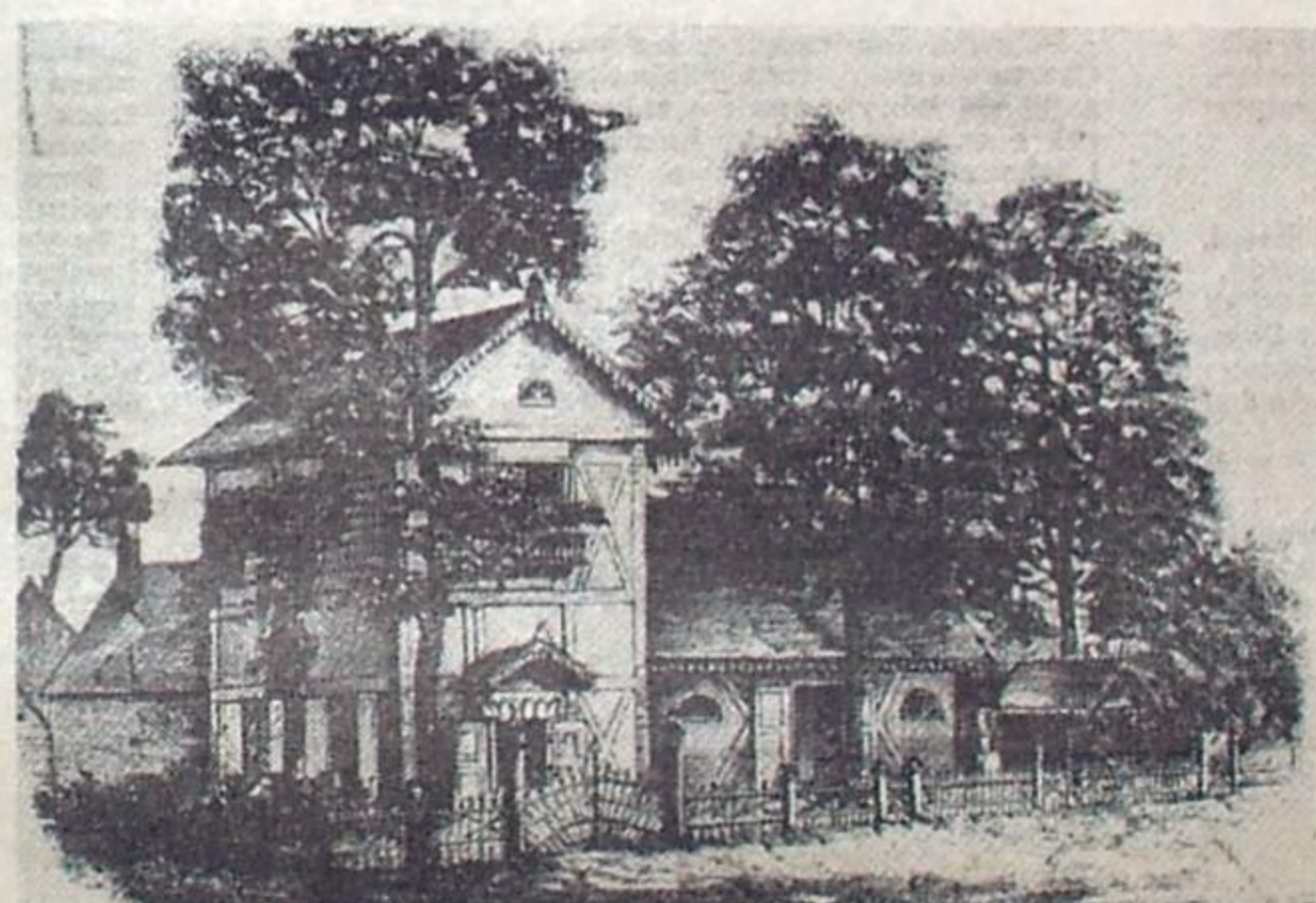
W dwa lata później odwiedził ją pisarz Kazimierz Kaszewski, któremu ofiarowała rękopis pamiętników swej siostry Kunegundy Białopiotrowiczowej, b. damy dworu Józefiny de Beauharnais.

Lucja Rautenstrauchowa była autorką trzech sentymentalnych powieści: „Emmelina i Arnolf”, Warszawa 1821; „Ragana, czyli płochość”, Warszawa 1830 i „Przeznaczenie”, t. 1—2, Warszawa 1831 oraz wspomnień i opisów podróży: „Wspomnienia moje o Francji”, Kraków 1839; „Ostatnia podróż do Francji, ostatnie jej wrażeń”, Lipsk 1841; „Miasta, góry i doliny”, t. 1—5, Poznań 1844; „W Alpach i za Alpami”, t. 1—3, Warszawa 1847. W rękopisie pozostały dotąd jej cztery komedie: „Nie igraj z ogniem”, „Sąsiadki”, „Autoromania” i „Kochani ludzie”. Ponadto ogłosiła drukiem szereg artykułów, wspomnień z podróży oraz kilka drobnych utworów, które zamieszczała w ówczesnych czasopiśmie i periodykach.

Nie miejsce tu na ocenę jej dorobku literackiego, być może zrobią to w przyszłości historycy polskiego piśmiennictwa, ale wydaje się rzeczą słuszną, by nazwisko puławskiej pisarki znalazło się na kartach naszej rodzimej literatury.

Natomiast osobowość pisarki oddają słowa — chyba trafnie — zawarte w jej nekrologu, w którym czytamy m. in.: „Zamknięta od jakiegoś czasu w swej willi Cienista w Puławach, wolała żyć w świecie własnych wspomnień i dobrych uczynków. Znał ją najlepiej — biedni, o których nie zapomniła nawet w chwili śmierci (3 maja 1886 r., przyp. L.G.). Był to gasnący typ polskiej matrony. Żyła w ciszy, umarła w ciszy, niech znajdzie spokój i w wieczności!”

Fot. i repr. Mikołaj Szpóz



Willi „Cienista”, rys. z „Tygodnika Ilustrowanego” 1886 r.



Willi „Cienista” — stan obecny.

PAMIĘTAM doskonale ten ciepły, wiosenny dzień, spieszyłem do śródmieścia z Saskiej Kępy, po drodze spotkałem kolegę szkolnego i przyjaciela, Marka Bajewskiego, po- ległego później jako żołnierz Szarych Szeregów we Lwowie. Zatrzymał mnie i pełen przejęcia zapytał, czy wiem? Czy wiem już, że na Zachodzie rozpo- częły się nareszcie działania militarne! Niemcy będą pobite!

Świat rozbił nam w oczach, liście rozkwitają- cych kasztanów wydawały się zielonymi girlanda- mi, a niebo było równie jasne i kryształowo czy- ste jak wówczas — we Wrześniu. Każda niemal go- dzina przynosiła nowe komunikaty z frontu, jed- nak niezbyt pomyślne. W Norwegii kończyła już walkę Samodzielna Brygada Strzelców Podhalań- skich gen. Zygmunta Szyszko-Bohusza. Żołnierzem jej był pchor. Ksawery Pruszyński, odznaczony ja- ko jeden z pierwszych Krzyżem Walecznych za po- stawę pod Narvikiem. Pełen jeszcze romantyczne- go spojrzenia na rzeczywistość, zasiadł Pruszyń- ski do jedynej w swym dorobku powieści „Droga wiodła przez Narvik”, z którą zapoznaliśmy się w kraju dopiero po wojnie. Pruszyński głęboko wie- rzył, że wojna będzie swoistym, wielkim katha- rsis dla narodu — wstrząsem prowadzącym do po- żądanych przemian. Udział w walce był, według niego, nie tylko podstawowym obowiązkiem każde- go Polaka, wręcz nakazem moralnym, uzasadnio- nym przez sytuację.

„Naród polski przechodził w chwili obecnej pro- ces bardzo intensywnego myślenia, przemyślenia od początku wszystkiego, w co wierzył i czemu ufał — pisał Pruszyński w 1940 roku na lamach prasy emigracyjnej. — Zaryzykowałbym nawet twierdzenie, że tak silny proces myślenia o swoich sprawach przeżywaliśmy chyba w dobie Reformacji, w XVII wieku, a potem w przededniu rozbió- rów, w epoce Sejmu Czteroletniego. No cóż, ludzi- ście Pruszyński, stawiając takie hipotezy, ale czyż naszym przeznaczeniem, pisarzy, nie są złudzenia? Jak my wszyscy podówczas, pokładał nadzieję we Francji absolutnej z 1939 roku filologii polskiej Uniwersytetu Jagiellońskiego Tadeusz Ulewicz, spe- cjalizujący się w literaturze staropolskiej. W tomiku zawierającym sześć wierszy, opatrzonym pseu- donimem autorskim Przemko Hreczecha, zwracał się do ojczyzny Ronsarda i Balzaka:

*Do Francji idzie ciepły wiatr,
wiatr Wiosny Ludów, co zniszczy wszystko
jak płomień.*

Tomik „O wolność” był pierwszym zbiorkiem poezji, wydany konspiracyjnie. „Wiersze mają ak- centy lokalne, ale wyrażają uczucia wspólne wszyst- kим Polakom, ból po klęsce, decyzję walki, wiarę w przyszłość” — charakteryzował je Stanisław Sierotwiński w pracy „Krakowskie podziemie lite- rackie pod okupacją hitlerowską”. Nie miała ta poezja innego znaczenia jak utrwalenie chwili dzie- jowej, przekazanie nastrojów społeczeństwa i wia- ry w nadchodzące lata. Bardziej była manifestem myśli i dążeń aniżeli dziełem w pełni artystycz- nym.

*Choć but krzyżacki w piach nam skroń
umęczoną wkopal,
choć czolo nam owiła cierniowa korona krzywdy,
a głęboką wiarą w słuszną sprawę ręce wznosimy
do Boga,
celem wysiłkiem młodych płuc wołamy na świat:
nigdy!*

— pisał Ulewicz w wierszu tytułowym „O wol- ność”.

Autor tych słów nie wszedł w krąg literackie, nie kontynuował swej drogi, skupił wszystkie swo- je siły na pracach polonistycznych, stając się na-

stępą wybitnych krakowskich uczonych. Niemniej ten zbiór wierszy świadczył o tęsknotach młodego pokolenia, pragnącego wyrazić swój czas, swoje troski i swoje przewidywania.

Witold Zechenter wrócił w tym czasie do Kra- kowa i nie mógł poznać miasta. Kiedy zebrał się z przyjaciółmi we Lwowie 13 stycznia, by przekro- czyć oficjalnie granicę na Sanie, nie przypuszczał, że przyjdzie mu spędzić wraz z rodziną kilka mie- sięcy w obozie przejściowym na terenie Protektoratu Czech i Moraw. Wreszcie dojechał do Krakowa

i był przygnębiony — „tym Krakau na dworcu, swastykami na każdym kroku, niemieckimi szyldami, napisami, mundurami. Ulice były jakby wylud- nione, przechodnie chylikiem przemykali się pod murami domów” — wspominał te chwile w tomie drugim „Uplywa szybko życie”. Z pomocą przyszli koledzy — Jan Wiktor dysponował pewnymi fun- duszami dla pisarzy i artystów, Erik zaproponował Zechenterowi pracę w spółdzielczej księgarni „Czytelnika” na ulicy Łobzowskiej.

Zdecydował się na powrót do swego rodzinnego miasta również Adam Polewka. Zgłosił się we Lwo- wie do niemieckiej komisji rejestracyjnej i z la- twością otrzymał przepustkę „za San”. Nie wyglą- dał na pisarza czy intelektualistę, wynędzniały, źle ubrany.

— Was sind Sie vom Beruf? — padło pytanie oficera hitlerowskiego o zawód.
Polewka odpowiedział bez wahania:
— Mauer.
Na to Niemiec:
— Na ja, das sieht man schon von Gesicht.!

Ale ten oficer nie wiedział jednego — że ma przed sobą deputowanego do Wierchownego Sowietu Ukrainy.

„Spotkałem się z nim wówczas, ale raz tylko, przypadkowo i przelotnie, w mieszkaniu jednego ze wspólnych znajomych. Był w paskudnym stanie nerwowym i to było oczywiste. Wyobrażałem sobie dokładnie jego ówczesną rozterkę, mówił o niej zresztą sam. Wydawało mu się, że w zasadzie po- winien być i tu (tzn. w Krakowie) i tam (tzn. we Lwowie)” — pisze Juliusz Kydryński. 2.

Polewka zamieszkał z rodziną kątem przy ulicy Czarnowiejskiej, żona miała skromną posadę, on zaś zajął się fabrykowaniem zabawek dla dzieci. Stru- gał z zapalem figurki ludzkie i zwierzęce, wózki i lokomotywki, lakierował je, nadając im koloro- wymi farbami odpowiedni wygląd. Zabawki cie- szyły się powodzeniem, mógł więc pomóc finanso- wo rodzinie. Nie pokazywał się na mieście, zbyt znany w Krakowie jako komunista, by móc podjąć działalność konspiracyjną. A może także przeżywał po prostu rozterkę duchową?

Zachodził natomiast na plebanie zwierzyniecką do ks. Ferdynanda Machaya, utrzymującego żywe kontakty z uczonymi i ludźmi pióra. Wielkim po- ważaniem księdza-senatora, jak powszechnie na- ywano ks. Machaya, cieszyła się Zofia Starowie- ska-Merstinowa, związana z tajnym nauczaniem; pojawiał się niedawny więzień obozu w Sachsenhau-

sen, emerytowany profesor UJ, wybitny dialektol- og Kazimierz Nitsch, którego żona Aniela pod pseudonimem Jana Powalskiego wydała kilka opo- wieści historycznych, cieszących się dużym rozgło- sem; często odwiedzał plebanie, mieszcząca się w murach starego klasztoru Norbertanek, położonego nad Wisłą w pobliżu rzeczki Rudawy; prof. Tadeusz Sinko, hellenista i recenzent literacki IKC-a, pisa- jący jako R.

„Głęboka i wszechstronna kultura wiązała ks. Machaya przyjaźnie z ludźmi innych przekonań,

ZAGUBIONE KLUCZE

Lesław M. Bartelski

wniał dojrzeć, co w nich szlachetne, i miał dla nich zrozumienie. Do takich ludzi należał Adam Polewka. Z radością powitał go ks. Machay, gdy wrócił z tułaczki. Z otwartym sercem przyjmował go, lekko wieczorem przychodził z ulicy Czarno- wiejskiej w progi plebanii na rozmowę. Polewka wracał wspomnieniami do swej rodzinnej Krzywo- rzeki, wyznając credo społecznej niwelacji wszel- kiej krzywdy społecznej — pisał ks. Bolesław Przybyszewski, wzmiankując również o odwiedzi- nach Jana Wiktor. „Szlachetny i uczulony na wszelki przejaw krzywdy ludzkiej autor „Wierzb nad Sekwaną” szukał wyzwolenia człowieka w ra- dykalnie pojmovanej Ewangelii. Ten franciszka- nizm Wiktor w czasie okupacji ewoluował w kie- runku omawiania zjawisk buntu w społeczności chrześcijańskiej przeciw ustalonemu porządkowi” 4.

Z Wiktozem poznał się ks. Machay na początku lat dwudziestych, zbliżyły ich wspólne zaintereso- wania Podhalem, przed wojną ksiądz-senator stał na czele Związku Górali Spisza i Orawy.

Maria Dąbrowska wróciła do Warszawy wraz ze Stanisławem Słempowskim, także na podstawie oficjalnie otrzymanego zezwolenia. We Lwowie zo- stawiła znajomych, z którymi żyła się przez te kil- ka miesięcy — Annę i Jerzego Kowalskich, Ostapę Ortwiną (o którym pisała, że przypomina jej z wyglądu Ignacego Chrzanowskiego) oraz Stanisławę Blumenfeldową, żonę bogatego fabrykanta i dział- laczkę kulturalną. W warszawskim mieszkaniu na ulicy Polnej 40, które zajmowała od 1917 roku, cze- kała na nią siostra Jadwiga Szumska, nauczycielka liceum im. Królowej Jadwigi oraz bratowa Lucja Szumska z dwojgiem nieletnich dzieci — Gabriellą i Jerzym. Sytuacja okazała się gorsza, aniżeli się spodziewała, nie mieli bo- wiem żadnych środków do życia. Ale od tych trosk codziennych o ile straszliwsze wydawało się położenie Francji.

Trwała nadal zwycięska ofensywa niemiecka. Po kapitulacji Danii, Holandii, Belgii i Norwegii bron- niły się okrajone wojska alianckie pod Dunkierką, bombardowany był Paryż celem sterroryzowania jego mieszkańców, na razie niezbyt groźnie. Wehr- macht zwrócił wszystkie swoje siły do przelama- nia pozycji francuskich w Pikardii, by jak najszy- biej osiągnąć stolicę Francji. Jeszcze 7 czerwca notował Landau: „Dzisiaj powiało znów duchem optymizmu. Wiadomość, że nowa linia aliancka pod naporem niemieckim nie ugina się; że przeszły je- dynie czołgi, [...] — wszystko to podniosło ducha i podniosło gasnące już niemal nadzieje na zwy- cięstwo aliantów”. Ale już 11 czerwca podawał

Eduardas Mieželaitis

W GOŚCINIE
U JAROSŁAWA IWASZKIEWICZA

Deszcz tłucze miarowo o pożółkłe klony
Szopenowską etiudę. W ramie okna — jesień.
My także, dwaj poeci, już jesienni przecież,
Milczymy sobie wspólnie w pejzażu zamglonym,
Sąsiadami jesteśmy. To także wiadomo,
Ze pokój między nami nie zawsze był trwały
I dzieliła historia nieraz nasze domy.
Lecz gospodarz powiada: Nie to, co bywało,
Dzisiaj ważne. I wspomnienia snuje
O swym dzieciństwie w Litwie. O starej przyjaźni,
Która nie jest chwiejna, gdy ją sercem czujesz.
Wiem — to prawda. Więc będziemy gwarzyć
O prozie życia — poeci jakże prozaiczni.
Lecz oto gospodarz książkę z półki bierze
I słowo dedykacji wiąże się lirycznie
Z tym domem, gospodarzem, złotym przedwieczernem.

(„Literaturnaja Gazieta” — 14 lutego 1979)

Przełożył
Jerzy Wilmański

Kreacja

Magdalena Jankowska

PRZEZYWAŁAM kiedyś ogrom- ną fascynację pewną kobietą. Kobieta artystką nigdy nie wid- ziałam przez moją. Znalam tylko obrazy, których była autorką, a które zdobywały coraz wyższą pozy- cję w świecie sztuki. Mogłabym jed- nak zbagatelizować jej istnienie, gdy- bym patrzyła wyłącznie przez pryzmat osiągnięć w tej dziedzinie. Ale usly- szalam o niej również jako przedmio- cie wieloletniej miłości bliskiego mi mężczyzny. Uczucie jego było tym żar- liwsze, im mniejsze miało szanse na spełnienie. Wyraźny brak wzajemno- ci, jak często bywa, potęgował prag- mienie. Wysłuchując opowiadań o alle- tej namiętności, i ja uległam dziwne-

mu nia zauroczeniu. Kobieta poczęła mi się jawić jako idealny związek ta- lentu i sił myślowych. Wyobraziłem moją podsycały doniesienia o kolej- nych sukcesach artystycznych i krzą- ce w tak zwanym środowisku opowie- ści o jej podbojach miłosnych. Przy- bierała dla mnie demoniczne wymia- ry. Straciłam do reszty zdrowy rozsa- dek i zdolność widzenia jej w natu- ralnej skali. Ogarniała mnie zawiść, a z czasem żywiołowa niechęć, połączo- na jednak z rodzajem kultu. Upoka- rzało mnie to, ale byłam bezradna jak zakochany mężczyzna. Pozostawała ostatnia nadzieja, że bezpośredni z nią kontakt przywróci mi umiar w ocenie. Zaprzęłam zna-

Tryptyk dębliński

Dokończenie ze str. 1

Bramę dęblińskiej twierdzy Włosi przekraczają w ciszy. Milkną indagacje o fotografowanie obiektu wewnątrz. Rozumieją — strefa militarna. Tuż za bramą rolę cicerone obejmuje Anellini Manocchi. Z typową włoską gestykulacją pokazuje — patrzcie tu oyl „nasz” trzeci błąk a tu plac na którym staliśmy. Czy pamiętacie, jak długo staliśmy tu nadzy? Był 23 marca

kowo panowały tu względne warunki obozowego bytowania. Lecz kiedy nadal włoska kadra oficerska odmawiała zgody na ponowne wezwanie jej do armii niemieckiej, reżim uległ zastrzeżeniu. Niedługo też rozszalał się w obozie głód tyfus, masowe rozstrzelania i potajemne, nocą, pochówki w fortecznych zakamarkach. Już raz Włosi przeszli wschodnią kampanię w oddziałach ARMIRY. Bił się ale o swoje nad Donem i pod Stalingradem.

jeńcom radzieckim i włoskim. Za otrzymane od Włochów przedmioty, kupowali dla nich cebulę i tuszcz. Mieczysław Stecki wraz ze Stanisławem Paszkowskim wykonywali ponadto inne, zlecone im przez AK, specjalne zadania. Temat to sam w sobie, na inną jednakże okazję.

Włoscy goście, po obejrzeniu placu oraz jednego z budynków twierdzy, udali się na dębliński cmentarz komu-

Fakt ten potrzebny mi się okazał więcej, bowiem odwiedzić zamierzalam, na chwilę choćby, z uwagą, na południową porę, pana Jana Kanarka mieszkającego na wspomnianym osiedlu.

Miałam więc pretekst, by nawiązać do meteorologicznych zainteresowań mojego rozmówcy. Prosił, aby było o nim jak najskromniej. Przyjmę jednak, jak ów „konduktor”. Gromy za to, że będzie nieco ponad to niż skromnie. Jakże inaczej napisać o tak wytrwałej i zdyscyplinowanej pasji, jakiej niejedno profesjonalne nawet obserwatorium dotrzymać rytmu nie zdołało? Otóż pan Jan Kanarek od 51 lat nieprzerwanie obserwuje i rejestruje na polskim naukowym zjawiska optyczne w atmosferze, szczególnie takie, jak halo, tęcza, zorze itp. Swoje doświadczenia z obserwacji publikuje od lat m. in. w „Przeglądzie Geofizycznym”. Jest jedynym, tak oracowitym, i oddanym służbie meteorologicznej obserwatorem-amatorem w Polsce. I kto wie, czy nie w Europie?

— Obserwowanie różnych zjawisk przyrody, nierzadko bardzo ciekawych i tajemniczych, sprawia mi przyjemność. W młodości marzyłem o tym, by coś niezwykłego odkryć, przynieść nauce polskiej jakiś pożytek, słowem byłem marzycielem — tak mówię o swojej pasji pan Jan Kanarek.

Oglądam zeszyty z rejestracją zjawisk, wypełnione pięknym, równym pismem, wykresami. Oto zapis z 3 stycznia 1938 roku: „W Dęblinie obserwowałem piękne zjawisko świetlne. Nad latarniami kolejowymi były piękne, dość wysokie słupy świetlne. Było ciemno, niebo bez gwiazd, księżyc. Padał drobny krystaliczny śnieg...”. 26 kwietnia 1938 roku pan Jan zaobserwował po raz pierwszy niezwykle zjawisko tęczy na mgłę. A pod datą 24 lutego 1939 roku zanotował wystąpienie, również po raz pierwszy w tamtym roku zorzy polarnej, zaobserwowanej w stacjach Krakowa i Poznania.

I tak, nieprzerwanie, każdego dnia, przez 51 lat odnotowywane są w panjanowych kajetach zjawiska atmosferyczne zachodzące nad Dęblinem.

Pan Jan Kanarek nie pochodzi z tych stron, a z Kieleckiego. W Staszowie kończył gimnazjum, Szkołę Podchorążych Rezerwy w Gródku Jagiellońskim, służył także w 5 pułku strzelców podhalańskich. W 1936 roku osiadł w Dęblinie, pracując tu wiele lat w Urzędzie Pocztowym. Jest kawalerem Krzyża Odrodzenia Polski. Za wybitne zaś zasługi na polu obserwacji zjawisk optycznych w atmosferze został obdarzony tytułem Honorowego Członka Polskiego Towarzystwa Geofizycznego.

Co się zaś tyczy owego halo nad Dęblinem — zjawiska optycznego wywołanego załamaniem i odbiciem promieniowania słońca lub księżyca na kryształkach lodu w chmurach (cirrostratusach) lub mgłę lodowej — to najpiękniejsze zanotował w latach 30-tych, 40-tych i 1977 roku. „Ostatnie jednak lata — jak mi powiedział — są bardzo ubogie w te zjawiska. Dopóki żyję, mam nadzieję, że jeszcze uda mi się coś niepospolitego upolować”.

Zyczę tego panu, panie Janie, serdecznie!

III. Obrachunki miejskie

WOWA sobotę restauracja „Aviata” chwaliła się jeszcze swoją specjalnością zakładu: szyćmiem ministerialnym i leniwym pierogami. We wtorek zaś drzwi lokalu były zamknięte, a stojące w oknach rośliny, ciemnozielone, o ostrych jak „języki teściowej” liściach dawały do zrozumienia, że niej z obładu, bo remont. To i dobrze. Dęblińskiemu miastu remontu potrzeba dużo. Postawione jeszcze w ubiegłym wieku rzemieślnicze i kupieckie domki w dawnej, satelickiej do lwangorodzkiej twierdzy osadzie Irena, choć czerstwo zółcieniacce drewnem i farbą, dopominają się już swego. Ba, chciałaby dusza do rajy, ale współczesny, 18-tysięczny Dęblin nie posiada ani jednego wła-



Włosi w Dęblinie

Fot. Przemysław Ostrzyżek

1943 roku i mnóstwo śniegu. A tędy, głodni i wycieńczeni, godzinami maszerowaliśmy i śpiewaliśmy...

Kobiety mają izy w oczach. Anellini Manocchi spędził w murach twierdzy pięć miesięcy. Podobnie, jak i przybyli tu dzisiaj jego koledzy: Antonio Sanseverino Federico i Marco Salvatore, De Felice Oresto, Francesco Grazieli, Nicola Gallo...

Oto chwila pod żołnierską plandeką. Honory domu pełni wojskowe kierownictwo twierdzy, naczelnik miasta, przedstawiciele ZBoWiD i Towarzystwa Przyjaciół Dębina. Tłumaczy przykład historii obiektu i miejscowości. W uszach gości szeleszczą polskie nazwiska: Tarłów, Mniszchów, Jabłonowskich, Dominik Merlini i klasycyzm to już coś „bliższego”. Paskiewicz, budowa lwangorodzkiej twierdzy, car Mikołaj II. Tak, chronił się tutaj wraz z rodziną podczas panującej w Petersburgu cholery.

— A czy wiecie państwo — pada informacja — że przebywał tu, na służbie, ojciec Nadieżdy Krupskiej, żony W. I. Lenina? Za przyjazne kontakty z Polakami został dyscyplinarnie odkomenderowany do Grójca na kierownika zakładu karnego...

Goście słuchają uważnie o tradycjach słynnej dęblińskiej Szkoły Orliąt. Padają nazwiska pilotów — Zwirki, Orlińskiego, Idzikowskiego, Bajana, pisarza-Meisnera, dowódców polskich dywizjonów lotniczych w Anglii w okresie bitwy o Londyn, dowódcy pierwszej eskadry lotniczej odrodzonego lotnictwa polskiego w ZSRR — Koniecznego, nazwiska współczesnych komendantów i wychowanków dęblińskiej WOSL.

Charakter spotkania cofa jednak czas wspomnień. Oto wybucha II wojna światowa. Teren twierdzy dęblińskiej hitlerowcy upatrzili sobie na przyszły oboz dla jeńców radzieckich, a także i innych narodowości. Wśród jeńców więziony tu był syn Józefa Stalina — płk. Jakow Stalin. Jesienią 1943 roku do Stalagu 307 przybyli najpierw Francuzi, Holendrzy i Belgowie, a po nich Włosi — młodzi oficerowie i kapelańscy wojskowi. Począ-

Po obaleniu w lipcu 1943 roku duce Mussoliniego i objęciu dowództwa nad armią włoską przez płk. Pietro Badoglio ARMIRA — Armata Italiana in Russia odmówiła dalszego udziału w niemieckich działaniach wojennych. Odmówiła, lecz nie dane jej było wrócić do Italii. Została do jeńców obozów na terenie Śląska, w Siedleckim i na Lubelszczyźnie, wytrzebiona została w masowych akcjach zagłady.

Są dokumenty, ślady, świadkowie, którzy tę eksterminację potwierdzają we Lwowie, Białej Podlaskiej, Chelmie Lubelskim i Borku, Belżcu, Dęblinie-Irena, Zajezerzu, Częstochowie i innych miejscowościach. Są ostatnie po włoskich jeńcach pamiętki, jak „dęblińskie” manierki i tyżki oznaczone imionami, jak mandolina wykonana z puszek po konserwach i drutu, przechowywana gdzieś w Białej Podlaskiej. Włoskim żołnierzom z ARMIRY jest i to pamiętane, że nie brali oni bezpośredniego udziału w publicznych aktach terroru, grabieży, gwałtu. Wręcz przeciwnie, były liczne przypadki udzielania przez nich pomocy, sprzedawania broni dla walczących żydowskich gett, oddawania własnych racji żywnościowych, ujmowania się za aresztowanymi czy nieodosobnionymi przypadkami przechodzenia od oddziałów partyzanckich.

13 marca 1944 roku ze Stalagu 307 zbiegło pięciu Włochów. Dwóch z nich zostało złapanych i rozstrzelanych. Z pozostałych, por. Ezio Micheli, ps. „Lotnik” i por. Enzo Boletti walczyli w kozienickich oddziałach BCh „Bilofa” i „Tomasza”, pod Kozienicami natomiast poległ por. Franco Mancini. Zaś kilka tysięcy innych, młodych Włochów, przyjęła bezimiennie dęblińska ziemia. Przed zbliżającą się ofensywą jeńcy włoscy ewakuowani zostali do Westfalii.

W spacerze po twierdzy włoskim gościom towarzyszą dwaj dęblińskianie, którzy byli wtedy, w czasie istnienia Stalagu 307, blisko nich, ale czy poznają w dojrzałych dziś twarzach rysy tamtych, młodych chłopców? Jerzy Stando i Mieczysław Stecki pracowali w twierdzy jako piekarze. Nocą, wyrzysztując nieuwagę niemieckich strażników, przeczucali wypiekany chleb

nalny, a potem do kościoła św. Michała. Takie było ich życzenie. W Warszawie spotkali się z przedstawicielami ZG ZBoWiD, zwiedzili stolicę. W swojej podróży przez Dębina odwiedził jeszcze Częstochowę. I tam zapewne powieźli wieniec z trójbarwnych kwiatów.

II. Halo nad Dęblinem

SOBOTNIE południe. Na dęblińskim osiedlu im. Stanisława Staszica szukam, pewnego adresu. Na ławkach siedzą i pogwarzają sobie mieszkańcy. Jak to przed sobotnim obiadem, którego zapachy ścięła się między blokami i zielenią przydeptaną nierzym domowe, znoszone ciapy. Jest upalnie, wręcz duszno. Może więc, czorem zbierze się na burzę? Dęblin „pamięta” taką jedną letnią burzę z 1782 roku, która uczyniła go poniekąd sławnym. Było to w sierpniu, kiedy w pałac Mniszchów uderzył piorun. Ba, zdarza się. Ale „we dwóch tylko pokojach — jak opisał to ksiądz proboszcz-astronom J. F. Bystrzycki — mroku nie zostawiwszy, we wszystkich innych do kilkadziesiąt będących znacznej szkody porobił, samo państwo okrutnie przeraził i szczęście to osobliwe, że one przy życiu zostawił. [...] Nadto kamerdynera onych przedpokojem na śmierć ubił, kredencjana i dziewczynę służebną mocno uderzył i o ziemię obalił i wszelkie zmysły im odebrał, których to jednak prędkim puszczaniem krwią uratowano, że dotychczas żyją, ale bez dostatecznego słuchu”. I dopiero wtedy dał się namówić właściciel pałacu na założenie piorunochronu. Nakłaniał go do tego solennie ksiądz-astronom króla jego-kości — J. F. Bystrzycki. Po raz pierwszy więc, a był to maj 1783 roku, założony został w Polsce piorunochron. J. M. Mniszech nie „żałował” sobie, fundując do swojej dęblińskiej rezydencji aż sześciu konduktorów, jak wtedy właśnie zwano piorunochrony. Było to co prawda 30 lat po skonstruowaniu pierwszego takiego odgramiającego urządzenia przez Beniamina Franklina na świecie. Na zamkowej zaś wieży w Warszawie piorunochron założony został w rok później od dęblińskiego.

Wyznawcy szatana

Dokończenie ze str. 1

Sumienie publiczne zostało pobudzone. W wyniku agresywnych działań policji krwawe, rytualne zbrodnie ustały. Jeszcze tylko jako pokłosie obiegła świat wladomosc o zamordowaniu przez lokalnego guru kilku wyznawców szatana na opuszczonej farmie w południowym Teksasie. Rozpoczęła się era punków i rockersów, których zagraniczne pierwowzory od początku skupiały w osobie ogromny ładunek agresji. Wszyscy moi młodzieźowi rozmówcy podkreślali związek krajowych „satanistów” z tamtymi reakcjami, a także obecność kulturową tego zjawiska na naszym gruncie.

Nie sposób jednak zignorować faktu, iż cała sprawa ma szersze i bardziej zróżnicowane niż moda tło. Jest to niebezpieczny odprysk ogólnie rozchwianych postaw młodzieży naszego stulecia, przybierających często formy wynaturzenia i dewiacji. Ideologie silnych wrażeń znajdują w tym kontekście szybką akceptację. Związek tych zachowań z problemami narkomanii jest przy tym kwestią bezsporną. Ośrodki posądzane o „satanizm” to rozpoznane wcześniej szczególnie skupiska narkomanów. Doznania narkotyczne powodują stałą potrzebę wzmacniania przeżytych stanów. Tu tkwi przyczyna praktycznej niemożności zerwania z tym nałogiem. Ogromne tempo życia, upadek ideałów, rewolucja obyczajów — wszystkie te sprzeczne od dawna czynniki rodzą niebezpieczne pochodne. Takie są prawa socjologii. I taka jest część prawdy o genezie „satanizmu”.

Mimo wszystkich tych uwarunkowań jeden z kryminologów powiedział w rozmowie z mną: „Chodzi tu bez wątpienia o reakcje ilościowo marginalne, spotęgowane jedynie sensacyjnością interpretacji. Kryje się w nich wszakże niepokojący aspekt autentycznej frustracji, z którą my wszyscy, jako społeczeństwo, musimy się uporać. Istnieje bowiem szansa, iż marzenia o nadnaturalnym mogą się coraz częściej przeradzać w okrutną rzeczywistość. Do tego zaś nie wolno nam dopuścić”. (W obliczu szalejącej plotki ustalenie prawdziwych rozmiarów zjawiska pozostaje rzeczą zasadniczej wagi).

— Ci ludzie są zbrojcami i nigdy bym do nich nie przystał, a jednak w tej ogólnej nudzie przeżywają coś mocnego — Jarek, lat 15.

— Chcemy żyć w świecie, w którym coś by się działo. Teraz jesteśmy doczepieni donikąd. Dorośli, w całej powadze swoich wątpliwych autorytetów, decydują o naszym losie, o naszych zainteresowaniach, naszej przyszłości, o tym, gdzie i jak będziemy żyć. Mnie tam ciągle czegoś brakuje, a organizacje młodzieżowe potrafią urządzić jedynie konkurs na przeciąganie liny. Wszystko, co mówi się o naszych szansach, to mowa-trawa — Anna, lat 17.

— Z tymi „szatanami” to pic. Paru zwyrodniałych głupków (podnieśliwie). Ale starzy mają stracha — Włodek, lat 16.

Jak się wydaje, rodzimych wyznawców szatana dałoby się podzielić na trzy kategorie. Pierwszą stanowią najwyżej wtajemniczeni, tworzący jakby kastę kapłanów, uczestnicy czarnych mszy na cmentarzach, organizatorzy krwawych misterii z elementami kultowej ofiary. Jest to grupa najmniej liczna, choć najbardziej zwyrodniała i społecznie niebezpieczna. Jak dotąd, odbyły się w całym kraju zaledwie cztery procesy ludzi oskarżonych o podobne rakytki. Druga, bardziej rozbudowana, „to sataniści” mający na swym koncie dewastację nagrobków, przydrożnych kapliczek, figurynek świętych. Grupa ta stała (co podkreśla praktyka kryminalna) potęguje swą aktywność. Trzeci, najliczniejszy odłam ruchu, to najmłodszy wiekowo (często zupełnie dzieci), werbalni członkowie „sekt”, demonstrujący swoją fascynację głównie poprzez słuchanie odpowiedniej muzyki (heavy metal) i puste deklaracje o pragnieniu wyrządzenia zła. Tej właśnie grupie zawdzięcza swą erupcję popularna plotka i w tej masowości tkwi zarazem największe niebezpieczeństwo.

Ruch nie jest jednolity, co w sposób naturalny musi budzić tarcia i animozje. „Kapłani udają ważnych, bo zabijają psa albo kota. Kota może zabić każdy; choćby kopniakiem” — Andrzej lat 17, który nie dostąpił jeszcze „zaszczytu” uczestnictwa w prawdziwej czarnej mszy. Filozofia „satanistów” jest tyleż naiwna, co nieprecyzyjna: „Wszędzie i zawsze czynić zło”. Enigmatyczność takiego programu sprządza najczęściej działania do zwykłych wybryków chuligańskich. Ideowym wsparciem ruchu jest wspomniana już muzyka typu „heavy metal” oraz towarzyszące jej „sataniczne” teksty piosenek. Za biblię tego ruchu uważa się powszechnie album grupy Iron Maiden „The Number of the Beast”, w którym pojawia się magiczna liczba 666, wypisywana obecnie z upodobaniem w szkolnych toaletach, wraz z dopiskiem „Metal-King-Satan”. Uczestnicy „heavy-metalowych” festiwali piosenki w Jarocinie już od dawna szokowali przypadkowych obserwatorów strojami ozdobionymi trupimi czaszkami, wizerunkami diabła, odwróconymi krzyżami. Trudno przecenić zasługi tego trendu dla reanimacji mistycznych ciągów w naszym kraju. Wystarczy spojrzeć na okładki niektórych płyt.

Specjalnego posmaku przydają ruchowi zasady konspiracji, tajemniczości i niezwykłości. Elementy takie zawsze pociągały młodych ludzi. Stąd stosunkowo duże trudności w penetrowaniu tych środowisk, choć przypadki otwartych deklaracji nie należą do rzadkości. Moje nocne spacerowanie w pobliżu lubelskiego cmentarza przy ulicy Unickiej pozostały tym, czym były od początku — przykładem naiwności. Nie liczyłem zresztą na efekty. Takie działania nie odbywają się wszak na zamówienie. Gorzej, że próby rozpracowania środowiska także się nie powiodły. Usłyszałem jedynie mniej lub bardziej sensacyjne przypuszczenia. Wydaje się, iż

prowidrami nowej sekty są na ogół młodzi ludzie z zasobnych domów inteligentnych, gros zaś wyznawców tworzą nigdzie nie pracujący i nie uczący się amatorzy mocnych wrażeń. To niezwykle prawdopodobne. Charakterystyczną przy tym rzeczą jest przypisywanie szczególnej działalności „satanistów” dużym ośrodkom przemysłowym. W naszym regionie mają to być: Kraśnik, Świdnik i Puławy. Sam Lublin w znacznie mniejszym stopniu. Rozpozna-

Swiadcza o tym zamachy na symbole religijne i drobne obiekty sakralne. Na rozprawie przeciwko „satanistom” w Człuchowie miejscowy proboszcz powiedział: „Uszkodzono dwa pomniki kamiennie, porozrzucano, polamano, porzucano krzyże drewniane, wyrwano krzyż metalowy, część z nich ustawiono odwrótnie”, a jedna z przesłuchiwanych dziewczyn zeznała: „Dodają, że wywrócenia tych krzyży dokonaliśmy z uwagi na to, że celem ruchu «sa-



Oplatki z rzekomo trucizną rozdawane wyznawcom dla sprawdzenia ich odwagi

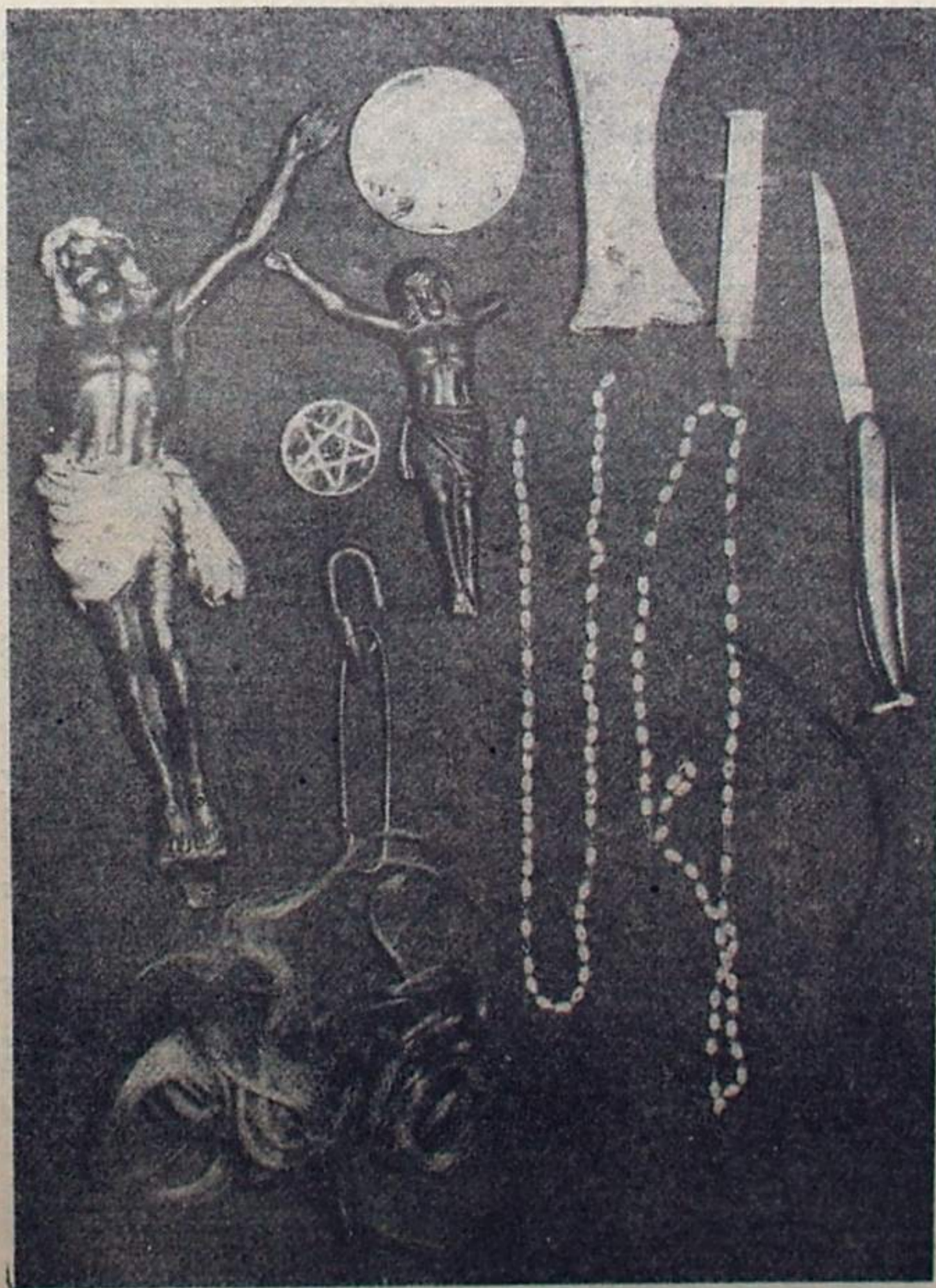
nie narkomanii rozkładalo się zresztą podobnie, a prawdziwość tych twierdzeń ustalają akta organów ścigania.

Jednym z elementów ruchu „satanistycznego” jest coraz silniej podkreślana otoczka jego antyreligijności.

„do którego należą koledzy, jest czynienie wszelkiego zła. Ponieważ należałam do «satanistów», wiedziałam, z czym pójdę na cmentarz się wiąże, mianowicie z przestawieniem krzyży na grobach o 180 st.” (Aldona Krajewska „Na przelaj”). Jeden z moich rozmówców ujął to jeszcze dobitniej: „Oni mówią, że wszystko jest teraz tak «ukościelnione», że tylko uderzenie tam może zwrócić uwagę”. Jest więc w tym zjawisku jakby wyraz zawiedzionych nadziei, które na początku lat osiemdziesiątych, przy bierności szkoły, tak szeroko skierowały się ku Kościołowi, a zwłaszcza niezwykle prędko działającym ośrodkom kulturalno-społecznym przy parafiach. Rosnące rozczarowanie zbyt chyba uporządkowanym modelem proponowanych zachowań wyczuwałem wyraźnie w wypowiedziach nastolatków. Aspektu tego nie należy przeceniać, nie można go wszakże zignorować.

Ruch „satanistyczny” przeminie zapewne tak, jak przeminęły poprzednie odmiany młodzieżowych negacji. Bicie na alarm byłoby tu równie jałowym działaniem, co i przemilczanie faktów. „Potrzebne są działania prewencyjne — powiedział mi kurator sądowy Wojciech Zelazko. — Izolacja najmłodszych od niewłaściwych wzorów. Ale nade wszystko potrzebna jest usilna praca całego społeczeństwa nad przywróceniem młodzieży wiary w zasadność i konieczność akceptowania postaw pozytywnych, twórczych. Margines będzie istniał zawsze, takie jest życie, obecne zjawisko rozciąga się jednak na niepokojąco szerokie obszary zachowań. A przecież to nadal tylko część problemu ogólnego — szerokiej frustracji moralnej i obyczajowej”.

Mimo zatem całego spektakularizmu działań „satanistów” nadal jeszcze wymagają bardziej stałej uwagi społeczeństwa niż interwencji psychiatrów czy socjologów. „Pisząc o nich, tylko robicie im reklamę” — ostrzegł mnie nawet jeden ze znajomych. Zdecydowana większość oskarżonych w procesie człuchowskim wyraziła skruchę i pełną wolę powrotu do życia wśród uznanych norm. Podobnie dzieje się na zakończenie innych przewodów sądowych w całym kraju. Jak pisze wszakże Aldona Krajewska, jedna z zamieszanych w człuchowską aferę dziewczyn wciąż twierdzi, iż jest „satanistką” i pozostanie nią do końca. Sugeruje to, iż długo jeszcze społeczeństwo może być narażone na bulwersującą odkrycia, a popularna plotka wciąż będzie znajdowała coraz to nowe źródła podniecenia.



Detale nagrobne wykopane przez „satanistów” i przedmioty, będące ich własnością

Metamorfoza Cyndi Lauper



Repr. Adam Trochimiuk

ROZNE są sposoby dochodzenia do kariery. Mała Cyndi Lauper wybrała trudną, ale skuteczną drogę klubową. Przez wiele lat występowała wraz z czwartoligowymi zespołami w klubach muzycznych Nowego Jorku. Pasjonowała ją estrada i mimo piętrzących się przeciwności, tudzież braku zainteresowania ze strony przemysłu fonograficznego uparcie tkwiła przy swoim hobby. Pierwszy zespół, z jakim mogła się pokazać, założyła wraz z siostrą Ellen w wieku 13 lat. O wytrwałości pasji najlepiej świadczy okres estradowego terminowania. Potrzeba jej było dwudziestu lat, aby z nikomu nie znanego podłoża przekształcić się w gwiazdę estrady, podziwiana i chętnie słuchana po obu stronach Atlantyku. Popularność Cyndi datuje się od wydania pierwszej płyty długogrającej „She's So Unusual”. Do jej realizacji w pełni przyczynił się John Turi. Za jego sprawą wokalistka pozyskała muzyków do grupy Blue Angels i zdołała zarejestrować taśmę demo, której cena wypadła korzystnie i przed rudowłosą wokalistką otworzyła się szansa promocji. Nie znaczyło to wcale, że droga, jaką miała przebyć, była usłana różami. Mimo ciekawej muzyki i

śmiały tekstów, traktujących o miłości, Cyndi nie zyskała aprobaty słuchaczy i krytyków. Złożyło się na to kilka powodów, z których najważniejszym była błazenada uprawiana przez wykonawczynię. Pokazywała się ona na scenie w szokujących kostiumach i fryzurach, popielając przy tym szereg ekstrawagandzkich kawałów. Cyndi Lauper bardziej kojarzyła się z wywołującym śmiech clownem, niż wokalistką rockową skupioną na przekazie artystycznych treści. Liczne skandale towarzyszące zapewniły jej opinię Boya George'a w spódnicy. O piosenkach Lauper mówiło się w tonie uszczypliwym, jakkolwiek spora część z nich trafiła na listy przebojów, m.in. „She Bop”, „Girls Just Want To Have Fun” i „Time After Time”. Przełomem w karierze wokalistki było uczestnictwo w sesji nagraniowej albumu „USA For Africa” z udziałem plejady amerykańskich muzyków i solistów. Cyndi zaśpiewała znakomicie partię w słynnym szlagierze „We Are The World” i to przysporzyło jej wiele ciepłych recenzji. Konsekwencją artystycznego rozwoju wykonawczyni jest wydany w roku ubiegłym album „True Colours” (Prawdziwe barwy), dzięki któremu jej nazwisko znalazło się na-

gle na pierwszych stronach wielu periodyków muzycznych. Po przesłuchaniu tej niezwyklej płyty łatwo zrozumieć powody owego zainteresowania osobą Cyndi. Do rejestracji materiału dźwiękowego zaprosiła takie znakomiteści jak: Billy Joel, Nile Rogers, Rick Derringer, The Bangles, Adrian Belew i Jeff Novo. Ich udział okazał się znaczący, ale najbardziej liczą się pomysły, a przy tym znakomicie zaaranżowane, kompozycje samej wykonawczyni. W przekonaniu krytyków, tym razem Lauper pokazała wyśmienitą klasę jako autorka i interpretatorka różnych w klimacie piosenek z odważnymi tekstami. Zachwyca bogactwo form i aranżacyjnych smaczków, użytych przy rejestracji albumu. Największe wrażenie robią utwory: „Change Of Heart”, tytułowy „True Colours”, „What's Going On”, „The Faraway Nearby” i „One Track Mind”. Oferta muzyczna Cyndi Lauper, wydana efektywnie przez firmę Portrait, zdystansowała wiele ubiegłorocznych płyt. Prawdę mówiąc, wcale się temu nie dziwię. Cyndi prezentuje wyśmienitą wręcz formę, pokazującą dojrzałość artystyczną. Jakże bardzo różni się to od pierwszych nagrań, wywołują-

jących zgryźliwe komentarze. Jestem przekonany, że żaden z publicystów amerykańskich nie zdobył się już na porównanie wokalnych popisów Cyndi z głosem Myszkki Miki, jak działo się to w przeszłości Lauper konkurując z nią z samą Madonną i kto wie, czy nie wygra tej rywalizacji. Stać ją bowiem na wiele, a temperamentem i głosem znacznie przewyższa wykonawczynię „La Isla Bonita”
Istvan Grabowski

Humoreski

Konkury

Andrzej Dreżewski

PO przelamaniu pierwszych lodów z panną na wydaniu, nerwowo spoglądałem na drzwi do salonu. Panna wyszła i niebawem miała mi zakomunikować swoją decyzję. Jedną tylko myśl wzbudzała mój niepokój. Czy uzyskam względy kandydatki do małżeństwa i tym samym będę przyjęty do jej rodziny? Znajdowałem się w salonie urządzonym przez pannę w staropolskim

stylu. Krzesło, na którym siedziałem jak na szpilkach, miało piękne rzeźbione oparcie. Na końcu długiego stołu były poukładane sztuce, stał porcelanowy talerz i leżała biała jak śnieg, haftowana serweta. Na drugim końcu stołu na talerzyku znajdowało się jabłko. Widocznie panna się odchudzała. Blisko zdobionej ściany stał szeląg, pokryty kolorową kapą. Firanki i zasłony odznaczały się urozmaiconymi wzorami. Na sekretarzyku

leżał gruby, ozdobny kajet z nazwiskami szlachciców i mieszczan. Z niego można było się dowiedzieć, kto i kiedy na przestrzeni wieków został odprawiony czarną polewką przez panny z tego drzewa genealogicznego. Lista była długa! W klatce skrzeczała ara: — Ale brzyda! — powodując u mnie mimo woli palpitację serca.

Na podstawie poufnych informacji wiedziałem o pannie prawie wszystko. Stosowała ona konwenanse swoich prababek, przystosowując je nieco do

dzisiejszych czasów. Lubiała się postawić. Wreszcie otworzyły się drzwi do salonu i weszła panna, a za nią pokojówka z pełnym półmiskiem czarnego salcesonu. Był to salceson bardzo drogi, naszpikowany dużymi ozrami, świetnie zrobiony w prywatnym zakładzie i trudno dostępny w sprzedaży. Panna miała znajomości w tym zakładzie. Odetchnąłem z ulgą i z ochotą zabrałem się do jedzenia mojej ulubionej wędliny!

Sondaż

Wiesław Pomorski

W DRUGIM kwartale przeprowadziłem badanie na temat: „Co pan robi, jeśli ma jakiś problem?”. Bodajże w czwartek, uzbrojony w magnetofon, wyruszyłem w poszukiwaniu tzw. próby.

— Panie Kazimierzu — zwracam się do specjalisty do spraw ekonomicznych w jednym z większych zakładów w mieście P. — Co pan robi, jeśli ma jakiś problem?

— Co robicie, jak macie jakiś problem? — pytam Zenobiusza G., rolnika na 20 morgach ze wsi R., najlepszego w gminie D., podobno także w byłym powiecie S.

— Siadam sobie wygodnie, zapalam papierosa i zastanawiam się. A jak mi się coś nasunie, to potem tak robię.

— Siadam wtedy, czapkę daję sobie o tak tu, zapalam papierosa i na chłopski rozum myślę. A co wymyślę, to tak jest.

— No, tak, ale jeśli ma pan jakiś większy problem?

— No tak, ale jak macie jakiś większy problem, to co?

— Tu, po lewo, pod siedemnastką, mam sasiada. Ide do niego, siadamy i dyskutujemy. Ustalamy, gdzie jakie pismo napisać na co się powołać i jakie założyć dokumenty. Jakies rozwiązanie zawsze się znajdzie.

— Wtedy, panie, ide do wuja Genka. Siadamy, czapki dajemy sobie o tak tu, zapalamy papierosa i gadamy, gadamy. A co ugadamy, to tak jest.

— No, dobrze, ale jeśli ma pan bardzo poważny problem, taka „gardłowa sprawa”, to co wtedy?

— No, dobrze, ale jak macie poważny problem?

— Hm. Wtedy biorę jakieś drobniaki czy coś innego, co żona wcześniej kupiła, jakąś flaszkę i jedziemy do szwagra na wieś. Powspominamy sobie, ponarzekamy i szwagier poradzi. Kuraka do bagażnika włoży, trochę jaj czy kiełbasy „swojego chowu” a i ze 100 tysięcy pożyczę, jak trzeba...

— Znaczący się sprawa gardłowa?

Wypowiadzi te zainteresowały mnie na tyle, że zdecydowałem przerwać badanie i wrócić do domu. Nie zmieniając butów wrzuciłem surowy materiał do osobistego komputera. Już po chwili mogłem przeczytać na monitorze: „W celu skuteczniejszego załatwiania indywidualnych spraw obywateli powołano do życia ogólnodostępną instytucję SZWAGRA”

— O właśnie! To co wtedy?

— Wtedy biorę w koszyk zarzniętego kuraka, trochę jaj i jakąś flaszkę, i jedziemy ze stara do szwagra, co to w mieście na urzędzie siedzi. Wie pan, jak to w rodzinie. Potem gadam szwagrowi sprawę, a co szwagier obmyśli, to tak jest.

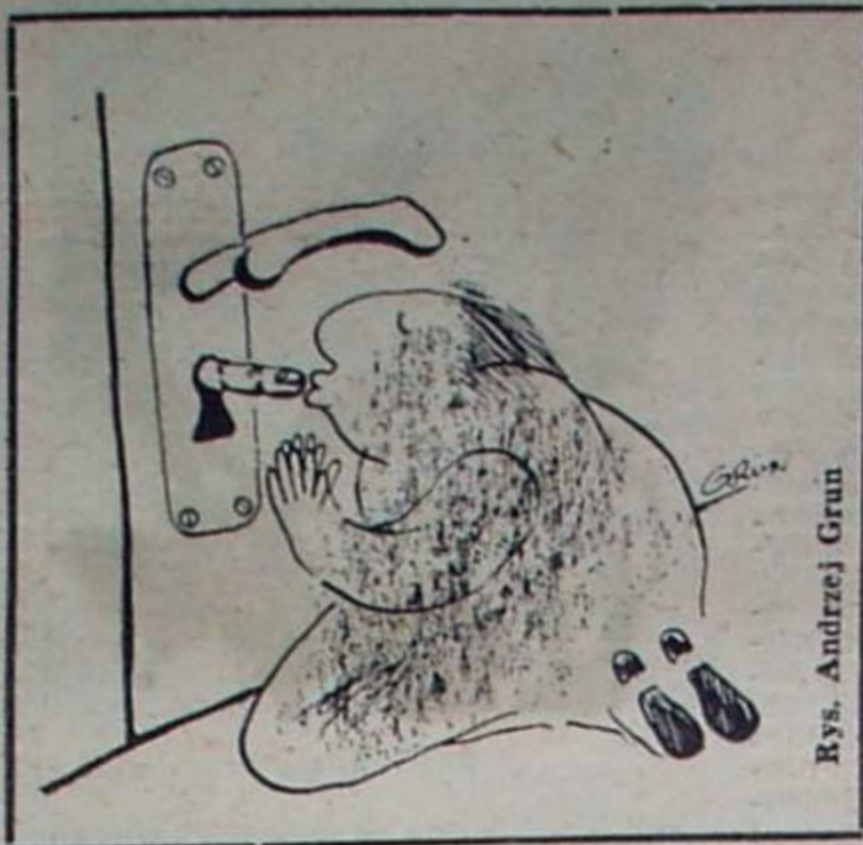


Rys. Józef Tarłowski

Założyciele: Kazimierz Andrzej Jaworski i Zenon Waśniewski.

Redaguje zespół: Marek Adam Jaworski (redaktor naczelny), Piotr Kopciowski (zastępca redaktora naczelnego), Zygmunta Mańkowski, Maciej Podgórnki (sekretarz redakcji) członkowie Kolegium Redakcyjnego oraz Marta Denys, Andrzej Derecki, Wiesław Horabik, Tadeusz Jasiński (kierownik działu literackiego), Ireneusz J. Kamiński (komentator), Redaktor techniczny — Ewa Dybek, korektor — Barbara Caban. Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych zastrzegając sobie prawo skrótoów. Druk Lubelskie Zakłady Graficzne im. „KWN w Lublinie ul. Gdańska 4. Wydawca: Robotnicza Spółdzielnia Wydawnicza RSW „Prasa — Książka — Ruch” Lubelskie Wydawnictwo Prasowe w Lublinie ul. Jasna 6 tel. 253-30. Adres redakcji: 20-029 Lublin ul. Skłodowskiej 2/1. Telefon: sekretariat, redaktor naczelny z-ca redaktora naczelnego 253-93 sekretarz redakcji 218-93 dział publicystyki i literacki 275-35. Korespondencje swytkie prosimy kierować pod adresem: 20-950 Lublin, skrytka pocztowa 231 polecone i ekspresowe — pod adresem redakcji.

Wiersze satyryczne Jana Górecy-Rosińskiego



KORELACJA

Nikt nie chce centralizmu —
wszyscy za demokracją.
I byłby to sofizm,
gdyby nie... korelacja.

Ten, co na dole stoi —
jest tylko fundamentem.
Więc dwoi się i troi,
by być do Góry wziętym.

Ten, co na górze stoi —
szczyt wyżej swój podciąga.
I dwoi się i troi,
by nie wpaść w korkociągi.

I tak się korelują —
dół z górą, góra z dołem,
a gdy się winda psuje,
to wysiadamy razem!

Z tym jednym zastrzeżeniem:
że gdy się piętro wali,
fundament pozostaje —
nawet w centralnej skali.

I to jest demokracja,
centralizm, korelacja,
że dół szczyt dźwigają,
a piętra — swoją rację.

FORUM POLONUM

Lubimy mowy, gesty,
gorzej już z wytrwałością.
Nasiadówki i sjęsty
też się wiążą z polskością.

Do walki żeśmy skorzy,
do trudu — za granicą.
W nas są animatorzy
do tańca i skłaniany!

Ja wiem — za mało płacą,
więc się chałturę goni...
A gdy się miewa kaca —
do baru — kto zabroni?

Od czegoż Domy Boże?
Rozgrzeszą od komuny...
Z czystym sumieniem możesz
głos zabrać na trybunie.

I tak drepczemy w kółko,
a nawis — jak chwost diabła —
owija nasze półka,
zaciska kraj i stadła.

Mam myśl nie byle jaką:
wzniesić by Forum Polonum!
Wszystkie wady Polaków
wstawić do tego Domu.

Na frontonie dać motto:
„Wadom najwyższa chwala!”
A dla potomnych prosto:
„Polska w nich pozostała!”

BOJOWNICY

Do boju, wołali, Rzeczpospolita napli!
I stali w kolejce. Po Uśmiech łaskawy.
Do boju, krzyczeli, w imię tych, co padli,
nie pozwolimy odebrać nam strawy.
Tu nasze miejsce. Obowiązek. Szaniec.
Rzekli — całując Wskazujący Palec.

„DEMOKRATA”

Czasem sobie lubię tupnąć
(ostatecznie ma się władzę!),
tu poplaskać, a tam lupnąć,
posmarować tym, co kadzą.

Mówią na mnie: autokrata.
To krzywdzące, przeciw Polak!
Byłem zawsze demokratą,
śpiewali mnie także „Sto lat”!

Dzisiaj nie dam się tak szybko
zepchnąć z wysokiego konia.
Przy kieliszku i pod grzybka
z kolektywem plan wydzwonię.

I znów krzyknę, i znów tupnę
(ostatecznie ma się władzę!).
Resztę za mnie robi układ.
Z demokracją sobie radzę.

„IDEOWIEC”

Leczy kręgosłup
złamał go
biegnąc po okłaski

Strzeże pryncypiów
jest zawsze gotów
do zmiany poglądów

Cierpi za odwagę
wpadł w labirynt
szukając
Wskazującego Paleca

Wierzy w postęp
idzie za głosem sumienia
własnej kleszeni

Kocha czystość
źródło
służy mu
do zwilżania nagniótków

ZABAWA W ŁÓŻKU (wg Wisłockiej)

Uczmy się bawić w łóżku, pani doktor prosi,
Freud poszedł do kosza, bo my też nie gęsi...
Więc gdy Tadeusz kwiatki znosi Zosi —
to zapewne wapniak, albo zdarty mieszczuch!
W sposób naukowy trzeba ciało mięsiec
I uczyć iskania endogennych dreszczy...
Wtedy i Zosia — raz z przodu, raz z tyłu —
punkt po punkcie znajdzie mechanizm do pieszczot.
O! piękna zabawa! Uproszczone miłość.
Seks — to forma wyższa — nad pioną — poziomy.
można na wiatraka — jak chce Kamasutra —
ruszać wszystkie fibry, wydobywać tony...
Wszyscy mogą wkroczyć dziś w szczęśliwe jutro.
Uczcie się przyrządzać sobie słodkie danie:
naukową pupę... Na cóż nam kochanie?
Dziś wystarczy narząd, pozycja, trening —
i do rajy wstąpić za życia, na Ziemi!

Krzyżówka nr 11 - szyfrogram literacki

Po odgadnięciu wyrazów pomocniczych należy przenieść do diagramu na miejsce liczb odpowiadające im litery i odczytać rozwiązanie — fragment powieści pisarza, którego imię i nazwisko utworzą pierwsze litery 17 początkowych wyrazów pomocniczych. Czarne kratki w diagramie oznaczają przerwy między słowami.

- Wyrazy pomocnicze:
1. strawa — 11, 3, 25, 136, 114, 109, 31.
 2. wiedza, fachowość — 43, 92, 34, 12, 79, 155, 149, 57, 58, 122, 27.
 3. nad kreską ułamkowa — 42, 36, 15, 30, 165, 196, 1.
 4. sztuka prestidigitatora — 2, 48, 172, 98, 74, 20.
 5. pozbawienie wolności — 10, 82, 163, 157, 141, 100.
 6. między Polską i Francją — 33, 51, 49, 138, 40, 34.
 7. pozostałości po rozbiciu — 6, 16, 55, 158, 35, 34, 126.
 8. jedynka z zerami — 14, 175, 18, 46, 72, 131.
 9. lepszy, gdy lepsze pudło instrumentu — 29, 52, 32, 94, 84, 166, 38, 80.
 10. człowiek śniegu — 5, 107, 19, 60.
 11. jego rozbicie to straszna siła — 71, 116, 94, 27, 145.
 12. przodkowie ze strony matki byli po niej — 154, 129, 76, 7, 106, 119, 66.
 13. okrążenie — 22, 93, 83, 68, 161, 169, 77, 115, 30.
 14. wieszcz, prorok — 23, 99, 69, 152, 104, 150, 110, 90.
 15. obraca głowa — 13, 168, 159, 128, 26.
 16. znajdzie go, kto chce psa uderzyć — 62, 164, 270.
 17. przeciwstawiany materializmowi i realizmowi — 24, 117, 67, 47, 123, 96, 174, 160.
 18. kask — 41, 61, 142, 140.
 19. drapie pod podłoga — 164, 39, 105, 118.
 20. przy nim koń — 53, 85, 86, 45, 113, 102.
 21. luksus — 56, 9, 101, 144, 88, 103.
 22. posiadłości, nieruchomości — 111, 64, 148, 91, 167, 146, 78.
 23. kształtuje świadomość — 134, 133, 81.
 24. od gminnych do centralnych — 153, 57, 124, 26, 72, 147.

	1	2	3	4	5		6	7	8	9	10		11	12	13	14		15	
16	17	18	19	20		21	22		23	24	25	26	27		28	29	30	31	
32		33	34	35		36	37	38	39	40	41		42	43	44	45	46		
47	48	49		50	51	52	53	54		55	56	57	58	59	60	61	62		
63	64	65	66	67	68	69	70		71	72		73		74	75	76	77	78	
79		80	81	82	83	84	85		86	87	88	89	90	91	92		93	94	
	95	96	97	98	99		100	101	102	103	104		105	106	107	108	109	110	
		111	112	113	114	115	116	117	118	119		120	121	122	123	124	125	126	127
128	129		130	131	132	133		134	135	136	137	138	139	140		141	142	143	
144	145		146	147	148	149		150	151	152	153	154	155	156	157	158	159	160	
	161	162	163	164		165	166	167	168	169	170		171	172	173	174	175		

25. lekki ruch powietrza — 63, 130, 59, 112, 75, 95.
26. woźny w zakładzie naukowym — 28, 139, 4, 124, 137.
27. dostarcza piór krakowiakom — 125, 154, 95.
28. wielkanocny wypiek — 108, 127, 89, 17.
29. pomaga szewcowi przy szyciu — 173, 120, 3, 171, 162, 143.

Rozwiązania można nadsyłać w ciągu 10 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji (skr. poczt. 231 20-930 Lublin). Wśród autorów prawdziwych rozwiązań rozlosujemy bonus książkowy za 500 złotych.

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI NR 9 SZYFROGRAMU LITERACKIEGO

Zaśmiałem się głośno i szczerze i wydało mi się, że od tego śmiechu zaczęły wylatywać spod nóg matki i jej włosów nietoperze. Krały po pokoju jak widma coraz dalej i dalej, aż gdzieś znikły, widać wyleciały przez okno.

Jan Drzeżdżon
„Oczy diabła”

Nagrodę wylosował Tadeusz Baczyński, ul. Gnieńska 10a m. 4, 89-430 Janowiec Wielkopolski.